



Kopysno w opowieści

(wersja do korekty, tytuły robocze)

Opisane wydarzenia, poza wyjątkami znanymi autorowi, nigdy nie miały miejsca i choć występują w nich osoby, które rzeczywiście istniały i niektóre nadal cieszą się życiem, zamieszczone opowiadania powstały jedynie w jego wyobraźni i są fikcyjne.

Czytając opowieści pamiętaj, że ich tekst nie został poddany zewnętrznej korekcie i redakcji, lecz mimo niedoskonałości, autor zgodził się je opublikować.

Pracę tę poświęcam moim dziadkom i rodzicom, bez których nigdy nie powstałyby opowieści z Kopysna.

**Człowiek na dworze
cesarza Franciszka Józefa I**

Galicja pod zaborem austriackim. Kopysno i okolice, 1822 rok.

Kopysno powstało przed narodzeniem króla Władysława Jagiełły, który w podzięce za wierną służbę, według zachowanego oryginalnego dokumentu, nadał w 1408 roku swemu rycerzowi Józefowi (Osip) Bieduniowi tę wieś wraz z cerkwią, dworzyszczem (dworem) zwanym Bodnarskie pod grodem (grodziskiem), lasem Strączyna i łąkami Mochowisko Małe i Duże, żeby służyły dworzyszczu (dworowi).

Mikoła mieszkał obok cerkwi pod wezwaniem Pokrowy Matki Bożej w małej drewnianej chacie, którą zbudował jego ojciec i obok której stała obora i stodoła, a za nią ulokowana w ziemi także nieduża kamienna piwniczka, w której przetrzymywano przetwory na zimę i trunki.

Późnym wieczorem Mikoła postanowił zajrzeć do jej zasobów, lecz zdążył jedynie przekręcić klucz w zamku, gdy wpadł na niego zdyszany stajenny Iwasyk.

- „Mikoła, trzeba jechać do miasta po doktora, pani nie może urodzić... zaprzęgaj konia, nie ociągaj się!” – stanowczym tonem niczym surowy rządca, Iwasyk zwrócił się do Mikola, co mu wyraźnie nie spodobało się.

- „A idź ty w czorty, jak mam powozić, gdy ledwo mogę poruszać palcem u nogi, który mnie boli” – rzekł zirytowany Mikola, nieco przesadzając o stanie swego zdrowia.

Kilka dni wcześniej będąc w lesie Grabnik, gdzie zatrzymawszy bryczkę musiał iść za swoją potrzebą, z radości niechcący kopnął wystający z ziemi martwy pniaczek, pod którym mieściło się gniazdo os, i tylko dzięki szybkości jaką nabrał uświadomiwszy sobie czego dotknął, spuchł mu tylko jeden palec od ukąszenia owada. Nie wyglądało to jednak groźnie.

Mikola nieco obruszony formą wypowiedzi, ostentacyjnie zamknął piwniczkę i udał się z Iwasykiem w kierunku dworu, do którego z łatwością dotarli idąc utartą ścieżką prowadzącą od cerkwi i mijając z prawej strony Horbysko.

Warto dodać, iż dwór znajdujący się u stóp Kopystanki, otoczony drzewami był niewidoczny od strony wsi. Nie znając topografii terenu i chcąc dotrzeć do dworu od strony Rybotycz należało za lasem Grabnik odbić w stronę najwyższego wzniesienia i widząc przed sobą Horbysko, mocno skrócić w lewo.

Mikola wyprowadził ze stajni konia, na którego zawsze mógł liczyć, zaprzągnął go do bryczki i wyruszył w drogę do

miasta Rybotycze, gdzie zatrzymał się dopiero przed domem doktora, którego miał zabrać w trybie pilnym do dworu w Kopysnie.

Doktor Suchorzepka, jedyny w tej okolicy, kształcił się w Wiedniu i doskonale znał swój fach, lecz pomimo propozycji pracy w dużym mieście, postanowił pozostać w Rybotyczach. Gdy koledzy ze studiów wytykali mu, że siedzi na prowincji, zawsze podkreślał, że chorzy są wszędzie, a on nie może wybierać osób, które ma leczyć.

Doktor posiadał niewielki domek po prawej stronie drogi prowadzącej z Rybotycz do Kopysna, poniżej miejsca, gdzie przecina ją potok Kamienny, który często wylewa o tej porze roku, co nie przeszkadza doktorowi dalej w nim mieszkać.

Trzeba wyjaśnić, iż podczas nadmiernego wylewu wód potoku nagromadzone kamienie i osady tworzą przeszkodę, przez którą mało który zaprzęgnięty w konie pojazd jest w stanie przedrzeć się na drugą stronę niewinnego wydawałoby się potoczku.

Między innymi z tego powodu hrabia Tyszkowski bardzo rzadko odwiedzał dwór w Kopysnie, który nigdy nie należał do szczególnie okazałych, a miał ich nieco w ziemi przemyskiej.

Ogrodzony drewnianym płotem, do którego prowadzą dwuskrzydłowe drewniane wrota przykryte drewnianym daszkiem, zbudowany był z drewna, na fundamencie

kamiennym i krytym gontem¹, a składał się z przedsionka i pięciu izb. W jednej z nich znajdował się prosty wylepiony gliną komin, a przy nim stał piec kaflowy i dwie drewniane ławy. W innej izbie ulokowana była piekarnia, w której mieścił się gliniany piec oraz ława. Obok dworu znajdował się spichlerz kryty gontem oraz obora opleciona chrustem, a także gumno² wraz z szopą oplecioną chrustem, na słupach, i pokrytą częściowo gontem i słomą.

Niedaleko obory była też stajnia, która wyróżniała się spośród innych budynków ze względu na zarządcę, który bardzo kochał konie, a miał ich trochę. Widząc jak Mikołaj je traktuje, a zwłaszcza kupionego za dużą kwotę na jarmarku w Mościskach Bułana, pozwolił mu z nim przebywać według jego uznania poza dworską stajnią.

Od południowej strony dworu ulokowano także nieduży staw, wokół którego rosły wierzby płaczące, których gałęzie pochylone w stronę lustra wody widocznie w geście szacunku dla gości odwiedzających dwór w Kopysnie, kłaniały się im pokornie.

¹ Drewniane deseczki o przekroju klina, z wpustem wzdłuż dłuższej krawędzi, łączone ze sobą poprzez ich wsunięcie w drugą.

² Budynek, w którym składało się zboże przed wymłóceniem.

Doktor Suchorzepka usłyszawszy wiadomość o problemach z urodzeniem dziecka pani Agnes, o nic nie pytał. Zajrzał do swojej lekarskiej skórzanej torby, sprawdził czy wszystko jest na miejscu i narzuciwszy na siebie w pośpiechu płaszcz, wsiadł do bryczki.

Ukochany koń Mikola nigdy nie miał problemów z dotarciem z Kopysna do miasta Rybotycze i odwrotnie. Niejeden raz pokonywał trudny odcinek drogi bez większego wysiłku, i tym razem ciągnął bryczkę z Rybotycz po nierównej drodze biegnącej po stromych wschodnich zboczach wzniesienia nad potokiem Kamiennym jakby wiedział, że musi zawieźć doktora Suchorzepkę do dworu na czas.

- „Wio Bułan, worek owsa mam dla ciebie w stajni” – Mikola szarpnąwszy lekko lejce, zwracał się co jakiś czas do swego konia z charakterystycznym zawołaniem będąc przekonanym, że zachęci to jego wiernego przyjaciela do większego wysiłku i szybko dotrą do dworu, gdzie ich oczekiwano od kilku godzin.

Mikola rzadko używał bata. Wolał mówić do swego konia, gdyż wierzył, że jego słowa zostaną przez zwierzę zrozumiane bez potrzeby jego użycia, traktując bat jako atrybut woźnicy, a nie przedmiot władzy i nacisku.

Mikoła nie krzyczał też na Bułana, bo wiedział, że przyniesie to odwrotny od zamierzonego skutek, czego wcześniej doświadczył, o czym warto wspomnieć.

Żona Mikola jak zwykle, gdy świeciło słońce, rozwieszała obok chaty swoje pranie. Gdy tylko odeszła, ktoś złośliwie zrywał ze sznurka rzeczy w kolorze czerwonymi i je przygniatał do ziemi, co ją bardzo irytowało.

Mikoła także miał tego dosyć i postanowił poznać sprawcę, więc zaczął się na niego i cierpliwie czekał za chatą. Bardzo się zdziwił, gdy do wiszącej czerwonej chusty podszedł jego ulubieniec, który zdjawszy ją zębami, rzucił na ziemię depcząc kopytami.

Mikoła oburzony tym co zrobił Bułan, głośno go skarcił, przez co sprawił, że koń nie miał ochoty przebywać w jego towarzystwie i udając się do pobliskiego sadu, skutecznie przed nim ukrył się.

Mikoła długo szukał swego przyjaciela, aż dostrzegł go za gęstymi krzewami, gdyż zdradziła go gęstwa grzywa. Podszedł i zaczął do niego coś mówić, lecz koń nie reagował, więc wyjął z kieszeni garść cukru i podsunąwszy pod jego pysk, delikatnym głosem przemówił do niego.

Bułań widocznie uznał jego zachowanie za akt przeprosin i wyszedłszy z ukrycia, dał się poprowadzić do dworskiej stajni.

Mikoła był tego dnia zmęczony i chciał wreszcie odpocząć, a jazda po zmroku do Rybotycz zupełnie mu nie odpowiadała. Tego samego dnia wysłano go bardzo wcześnie rano do tego miasta po minogi dla niejakiego Ilka z Brna, który był ich smakoszem.

Ilko był serdecznym przyjacielem Samuela, z którym studiował prawo na Uniwersytecie we Wiedniu i przez lata wynajmował mieszkanie w dzielnicy Leopoldstadt przy Negerlegasse nad Dunajem, więc nie wypadało go nie ugościć.

Ilko niezapowiedzianie przybył do dworu w trudnym dla Samuela i Agnes czasie, a przy tym nie stroniąc od gorzałki, potrafił sprawiać kłopoty z powodu kobiet bez których, jak twierdził, jego życie nie ma sensu. Gdy któraś w jego otoczeniu spodobała się mu, nie przyjmował do wiadomości tego, że może nie być nim zainteresowana. Będąc pod wpływem alkoholu ignorował jej zdanie stając się wobec niej natrętny, co wzbudzało oburzenie i niesmak.

Na szczęście we dworze nie było kobiet, które mogłyby wpaść Ilkowi w oko, więc skupił się na piciu i dobrym

jedzeniu, stąd też pomysł z minogami, po które wcześniej rano musiał udać się Mikola.

Świeże minogi na dwór mógł dostarczyć jedynie Anuś z Rybotycz, wielki łowca niczym Artemida, od której różniła go nie tylko płeć, lecz także skromność i skrytość swojej pasji.

Anuś, a właściwie Marian, kiedy wszyscy jeszcze smacznie spali, ustawiał pułapkę w zakolu Wiaru niedaleko stromej skały, z której z wysokości spadały wody potoku do rzeki.

Do pułapki wrzucał nieznaną nikomu przynętę, która wabiła minogi i o której nie chciał za bardzo mówić. Ciekawskich zbywał opowieścią, że kupił ją podczas jarmarku w Dobromilu w dniu św. Anny, u jakiejś kobiety wyróżniającej się obfitością biustu i sprzedającej kiszzone ogórki z dębowej beczki, co jak podkreślał, bardzo go zainteresowało z powodu ich nadzwyczajnej długości i jędrności.

Anuś przesiadując w karczmie u Salika, gdzie zmęczeni pańszczyzną chłopci spożywali gorzałkę, i chcąc w ten sposób odwieść ich od poszukiwania przynęty na minogi, barwnie opisywał walory cielesne kobiety z jarmarku, co nie uszło uwadze pewnego Żyda, który zamierzał wykorzystać rynkową niszę licząc na to, że odkrywając sekret obfitych połowów minogów, zrobi na tym niezły interes. Warto też wspomnieć, że

barwne opowieści Anusia sprzyjały darmowemu spożyciu przez niego gorzałki, której mu nie odmawiano licząc na to, że zdradzi swoje sekrety. Wypity przez Anusia alkohol mimo ich ilości, nigdy nie doprowadził do ujawniania przez niego tajemnic wędkarskich.

Żyd Mendel, bo tak miał na imię, przysłuchując się w karczmie opowieściom Anusia, na początku sierpnia postanowił udać się na coroczny, długi jarmark, jaki odbywał się w Dobromilu, gdzie pierwszą spotkaną kobietę, która przypominała mu osobę z opowiadań o minogach zapytał, czy ma do sprzedania przynętę na te stworzenia.

Nie mogąc wyjaśnić jej, jakie rzeczne stworzenie ma na myśli, a był już w natchnieniu jakie zapewnił mu niejaki Moryc w swej karczmie racząc go szklaneczką gorzałki, odchyliwszy swój chałat wskazał na miejsce, które według niego winno się z nim kojarzyć. Niestety nie został właściwie zrozumiany i przyjmując na twarz mocne uderzenie nieuzbrojoną ręką na oczach licznych jarmarcznych gapiów, doznał nie tylko cielesnego uszczerbku, lecz także zrezygnował z uruchomienia interesu z minogami.

Należy wyjaśnić, iż zainteresowanie tymi stworzeniami w okolicy było niewielkie, a w postaci smażonej jedzono je tylko na dworach, bo okoliczni chłopci z powodu podobieństwa

do gadów, patrzyli na nie z obrzydzeniem. Nawet niegroźny zaskroniec, gdy czasem zawitał do ziemnej spiżarni i ulokowawszy się na kamieniach stanowiących jej sklepienie, by zażyć słońca, odganiany był szybko brzoźową miotłą niczym intruz.

Parę razy Mikola zatrzymywał bryczkę, by dać złapać oddech Bułanowi, co mu należało się. Doktor siedząc otulony kocem jedynie mrucał coś pod nosem, lecz nie miał odwagi skarżyć się na trudy podróży, choć co jakiś czas musiał poprawiać torbę z narzędziami i medykamentami, która podskakiwała na każdej nierówności, co czyniło w niej nieporządek, którego bardzo nie lubił.

Kiedy wszyscy pokonali stromy podjazd, a w oddali było widać Grabnik, Mikola lekko szturchnął batem Bułana, by go pośpieszyć zwłaszcza, że przed nimi był prosty odcinek drogi, co musiało się wiernemu zwierzęciu spodobać, bo ruszając z kopyta nie miał zamiaru przystawać.

Towarzyszący jeździe podmuch powietrza ożywił nagle doktora, który musiał ratować swe odzienie, by je nie stracić. Opatulił się jeszcze bardziej i tylko westchnął, licząc na to, że wkrótce dotrze na miejsce przeznaczenia.

Pełen tajemnic las Grabnik podróżujący bryczką minęli bez przeszkód, a doktor, osoba spostrzegawcza i dociekliwa, zwrócił uwagę, że na Mochowisku ktoś pali duże ognisko, z którego łuna bije nawet do Pikulca, i próbował znaleźć wyjaśnienie tego zdarzenia, ale widocznie zmęczony jazdą, nie chciał kontynuować tego tematu.

Za Grabnikiem Bułan nie reagując na polecenia Mikola, nagle skręcił w lewo i wjeżdżając przez otwarte na oścież wrota zatrzymał się przed dworem, jakby znał wcześniej cel podróży.

Dwór Tyszkowskiego, którym zarządzał Samuel znajdował się na małym pagórku, na łagodnym zboczu Kopystanki, nieco poniżej niedużego wzniesienia nazywanego Horbyskiem, gdzie okoliczna ludność wierzy, że jest na nim pochowany ich duchowny, sławny biskup Michał Kopystyński, który nie mając zaufania do papieża nie chciał podlegać jego władzy, odrzucając postanowienia tzw. Unii Brzeskiej, przez co miał później problemy.

Doktor Suchorzepka trzymając mocno w rękach skórzaną torbę lekarską, szybko zszedł z bryczki i nieco pobrudzony w czasie jazdy błotem odrywającym się od jej kół, próbował go strzepać z płaszcza, lecz nagle zrezygnował i zdecydowanym krokiem wszedł do przedsionka dworu, gdzie powitała go ze łzami w oczach Michasia Hamryszczak, znana w okolicy

i bardzo szanowana akuszerka, do której dołączyła też Nastka Czyżowska, która opiekowała się panią ze dworu.

W jednym czasie rzekły „Ratuj pan...”, a spojrzawszy na siebie, zamilkły. Wtedy Michasia zaczęła kontynuować swoje prośby, kierując je w stronę doktora.

- „Panie doktorze, pani Agnes ma problem z powodu ułożenia główki dziecka, a ja nie mogę jej pomóc..., tylko Pan może ją uratować.” – zwróciła się z błaganiem Michasia.

Samuel stojący obok akuszerki i zagryzając z nerwów paznokcie, wyraził jedynie życzenie, żeby doktor sprawił, by jego żona mogła urodzić jego pierworodnego.

Doktor skinąwszy głową, niczego nie obiecując, zażyczył sobie miednicę z gorącą wodą i czyste prześcieradła, a wchodząc do izby, w której ujrzał na łożu wijącą się z bólu rodzącą, stanowczym głosem rzekł, by nikt mu teraz nie przeszkadzał.

Czas mijał, lecz wkrótce nadeszła wiadomość, na którą wszyscy czekali. Nagle otworzyły się na oścież drzwi i stanął w niej doktor Suchorzepka, a na jego zarośniętej twarzy, pełnej potu przyklejonego do włosów niczym rzęsiste krople wiosennego deszczu, widniał obraz zwycięzcy, a radosne słowa „Ma pan syna” w oczach Samuela znaczyły więcej niż wygrana

na loterii we Lwowie. Nie wiedząc jak się zachować, Samuel zażyczył sobie nalewki z derenia i nie doczekawszy się na wzmacniający trunek, nagle z wrażenia osunął się na podłogę.

Agnieszka w trakcie porodu straciła dużo krwi i choć wszyscy ją wspierali jak tylko mogli, nie mogła szybko dojść do zdrowia. Nie opuszczała łoża i ledwo dawało się ją karmić, zmuszając do przełknięcia pokarmu.

Samuel próbował nawiązać kontakt z żoną i każdego ranka pytał ją „Agnes, Agnieszko... mamy syna... jak damy mu na imię?”, lecz na próżno czekał na odpowiedź.

Żona Samuela zmęczona trudami porodu nie potrafiła wymówić żadnego słowa, usta jej drgały, a oczy choć chciały coś powiedzieć, wpatrzone w jakiś jeden punkt na ścianie izby, nie były w stanie dotrzeć do jej męża.

Nastka Czyżowska dwoiła się i troiła, by pomóc swej pani, i w końcu przy pomocy ziół zbieranych na Mochowisku, które tylko ona potrafiła rozpoznać i odpowiednio przygotować, a także warzyw rosnących na zagonie przy dworze, zdrowie Agnes zaczęło się poprawiać, a pewnego dnia nastąpił przełom. Agnieszka nabrała sił i mogąc wreszcie kontaktować się z innymi, w pewnej chwili ku zaskoczeniu Samuela, który

czuwał przy niej każdego dnia, zmęczonym głosem wyrzekła pierwsze od porodu słowa - „Walerian, tak nazwiemy syna.”

Samuel wielce tym zaskoczony odpowiedział: „Tak Agnes, niech będzie tak, jak tego pragniesz... .”

Kiedy słońce opuszczało wieś chowając się za Kopystanką, na dworze z niecierpliwością czekano na Samuela, który udał się rankiem do proboszcza w Rybotyczach, by załatwić spóźniony chrzest jego syna Waleriana.

Już od Grabnika było słychać jakieś dziwne odgłosy pochodzące z bryczki, którą podróżował Samuel, jakby ktoś zapomniał posmarować osie jej kół przed wyjazdem.

Odgłosy te znikły, gdy bryczka skierowała się w stronę dworu. Mikola wjeżdżając na podwórko zatrzymał pojazd, a wtedy z niej wyskoczył Samuel trzymając w ręku litr gorzałki, którą po wizycie u księdza Jakuba kupił w karczmie u Salika w Rybotyczach.

Niestety, wiadomości jakie usłyszał od proboszcza nie były dla nikogo radosne. Ksiądz z Rybotycz będąc zajęty przygotowaniami do jakiejś imprezy u grekokatolickiego księdza, nie chciał z nim za bardzo rozmawiać, a jego prośbę o chrzest dziecka zbył tym, że niewiele wie o tym fakcie i nie ma odpowiednich dokumentów z parafii rodziców dziecka.

Samuel nie chciał prosić na kolanach duchownego i odstąpił od uregulowania statusu prawnego swego syna, choć miał świadomość, że bez chrztu będzie miał on w życiu problemy.

Kilka łyków gorzałki zakupionej w karczmie sprawiło jednak, że kwestia chrztu syna przestała dla niego mieć jakiegokolwiek znaczenie, choć wcześniej nie miał w zwyczaju w ten sposób rozwiązywać swoich problemów. Chwiejącym się krokiem wszedł do izby i padł na łóżko nie wypuszczając z rąk butelki, i tak zasnął.

Agnieszka widząc męża w takim stanie podeszła do niego i wyjmując mu z rąk prawie pustą butelkę gorzałki, odłożyła ją na bok i zdjawszy mu obuwie i wierzchnie odzienie przykryła go kocem, życząc mu na odchodne miłych snów.

Minęły prawie dwa lata od pojawienia się na świecie Waleriana, syna Agnieszki i Samuela. Nie był to jednak dobry czas dla tej rodziny.

„Szanowny Panie... dziękuję za zarządzanie moim majątkiem... ale mam inne plany co do Kopyśna... i wyznaczam Panu termin na opuszczenie moich włości na dzień... . Wszelkie rozliczenia przeprowadzi z Panem mój nowy zarządca Józef Ch.... Z szacunkiem, hrabia Wincenty Tyszkowski”.

List ten Samuel otrzymał przez posłańca wczesnym rankiem, ale go nie przeczytał, gdyż wołał najpierw obejrzeć postęp prac przy budowie stawów karpiowych niedaleko cerkwi.

Widząc doskonale wykonane groble, bardzo się ucieszył z tego czego dokonali bracia Hryć i Dmytro Krupowie. Wypada dodać, że Krupów w Kopysnie było wielu, i każdy miał jakiś przydomek, by odróżnić ich od siebie.

Samuel wracając pieszo do dworu, w wyobraźni widział napelnione wodą z pobliskiego potoku Kamiennego duże stawy, w których w blasku słońca pluskały się ławice dorodnych karpi królewskich i w duszy marzył o rybnej galaretce.

Danie to przyrządzała mu jego kucharka, na którą wołali Kaśka, a która pochodziła z pobliskiej Koniuszy. Czyniła to doskonale poświęcając wybornemu daniu dużo czasu, bo z ugotowanego mięsa dokładnie wyjmowała wszystkie ości, by jej pan nie udławił się. Dzięki temu Samuel jadł galaretkę bez chleba, tak mu zawsze smakowała.

W podzięce za to, za każdym razem, po powrocie z Dobromila, czy Przemyśla, przywoził jej drobny prezent, lecz wręczał go ukradkiem, by nie czynić rozgłosu, gdyż miał ku temu powody. Dziewczyna była bardzo atrakcyjna, miała

piękne piwne oczy otoczone wyraźnymi czarnymi rzęsami oraz gęste czarne włosy, i choć nosiła zwiewne odzienie, widać było, że ma pod nim jędrne piersi i pośladki, które wzbudzały pożądanie u wielu mężczyzn.

Samuel kochał swoją Agnieszkę i nie w głowie mu był dworski romans.

Radość z rozpoczętej budowy wyczekiwanego od lat stawów, zgasił Samuela list hrabiego Tyszkowskiego. Nie był jednak nim zbyt zaskoczony, gdyż wiedział, że właściciele ziemscy często szafują swoimi dobrami i sprzedają je bez namysłu lub powierzają wybranym osobom, więc liczył się z tym, że kiedyś to nastąpi.

Samuel zakochał się w Kopysnie od samego początku, kiedy tylko przyjął obowiązki zarządcy dóbr Tyszkowskiego. Przekonał się, że miejsce to sprawia, że każdy kto odwiedzi je tylko na chwilę, chciałby bosą, po rosie, przemierzać łąki Mochowiska i towarzysząc rojom pszczoł i trzmieli wachać kwiaty, których barwne i bogate odzienie zmusza do refleksji nad sensem życia. Każdy chciałby też wejść do Grabnika i szukać wśród drzew, borowików i kozaków, a przekraczając las w kierunku Sosenek nazbierać tam maślaków i rydów... a wracając w kierunku Kopystanki, stanąć na jej szczycie napawając się pięknem niepowtarzalnego krajobrazu.

Samuel bardzo lubił przesiadywać na ławeczce przed stawem obok dworu, zwłaszcza wtedy, gdy podczas wiosennej wieczornej scenerii żaby popisywały się swoimi głosami tworząc swoistą harmonię dźwięków natury.

A kiedy lipy zaczęły obdarzać wszystkich aromatem kwiatów, zabierał z dworu bujany fotel i siadał pod jedną z nich, rosnącą tuż przy stawie, i długo rozmyślał, co niepokoiło Agnieszkę, która zastanawiała się, czy czasem nie zauroczył się jakimś wiejskim dziewczęciem, których nie brakowało.

Niejedna dziewczka chętnie dałaby się uwieść, by tylko zjednać sobie pana i korzystać z jego finansowego wsparcia, na co wielu możliwych godziło się, bo doskonale wiedzieli, że korzystając z przyjemności obcowania z młodą i urodziwą dziewczyną, nie będą musieli się z nią żenić, a tym bardziej dzielić swym majątkiem, choć różnie to bywało.

Samuel był dobrym zarządcą i szanował swoich poddanych, za których wstawiał się, gdy zaszła potrzeba. Pomimo wypowiedzenia umowy, nie obawiał się, że pozostanie bezrobotnym. W zanadrzu miał już inne zajęcie, które miało pozwolić mu utrzymać rodzinę, i gdy tylko minął czas na opuszczenie dworu w Kopysnie, udał się do Grodowic,

niedaleko Stryja, gdzie przejął zarząd nad majątkiem hrabiego Sułkowskiego.

Kto dobrnął do końca opowieści zapyta, gdzie w niej mowa o człowieku z Kopysna będącego na dworze cesarza Franciszka Józefa I?

On w tej opowieści dopiero narodził się, a dalsze losy Waleriana, syna Agnieszki i Samuela wymagają czasu, by przedstawić je dokładnie.

Tajemnicze akta w kance na mleko

Polska, Kopysno i okolice. Koniec lat 70. XX wieku.

Tych dni spędzonych w Kopysnie nigdy nie zapomnę, choć wydarzenia, które ją poprzedziły, nie wskazywały na nic szczególnego i wartego uwagi.

Były to czasy, w których wyobraźnię i wrażliwość na świat kształtowały przedmioty, dźwięki i zapachy natury, a nie stworzone ręką ludzką ich nieudolne podróbki, zamknięte w plastikowych, prostokątnych urządzeniach wymagających co jakiś czas uzupełnienia energii, by mogły nadal funkcjonować.

Z bratem i z kuzynem, który przyjechał do nas na wakacje, postanowiliśmy odwiedzić dziadków w Kopysnie. Nie mogliśmy liczyć na dogodny transport, więc wyruszyliśmy z Huwnik pieszo uczęszczanym traktem.

Chcąc skrócić sobie drogę do Kopysna, kilkaset metrów od skrzyżowania z drogą prowadzącą do miejscowości Makowa, skręciliśmy w prawo i weszliśmy na polną drogę prowadzącą, jak się wtedy mówiło, koło Fizia.

Kiedy dotarliśmy do jego zabudowań, odbiliśmy nieco w lewo, idąc wydeptaną kołami furmanek drogą wzdłuż wzniesienia nad potokiem Kamiennym, z którego roztacza się chwytający za serce piękny krajobraz, którego mimo chorych ambicji możliwych tego świata, jak i chcących ratować klimat

naszej Ziemi, nikt jeszcze nie zaburzył i nie upstrzył martwymi elektrowniami napędzanymi wiatrem.

Idąc dalej wzdłuż wzniesienia, skręciliśmy w lewo wkraczając pełną koleiną drogą do ulubionego przez nas sadu, gdzie opuszczone przed laty owocowe drzewa, wbrew woli ich właścicieli, nie zmieniły swej natury i nadal chwałyły się dorodnymi owocami wśród obcych drzew, które widocznie miały ukryć w swych koronach miejsca, gdzie kiedyś mieszkali ludzie, a których wyproszono i skazano na nie zawsze odwzajemnioną miłość do nowego miejsca.

Opuszczając sad znaleźliśmy się na głównej drodze prowadzącej z Rybotycz do Kopysna i idąc dalej drogą w górę, skręciwszy na lewo, gdzie po obu stronach witały nas śliwy, dotarliśmy wreszcie do domu dziadków.

Nie mogliśmy liczyć u Nich na jakieś luksusy, żyli skromnie, ale mieli nadzwyczajne serca i byli szlachetnego usposobienia. Zmęczeni wędrówką, spoceni, wybłoceni, ale szczęśliwi i nie spróbawwszy nawet placka z ziemniakami, które piekła ciocia Michasia, a który był bardzo smaczny, padliśmy na łóżka i szybko zasnęliśmy śniąc o przygodach następnego dnia.

Ciocia zdążyła zdjąć z nas tylko obłocone buty, bo z resztą odzienia nie mogła dać sobie już rady.

Rankiem zostaliśmy zerwani z łóżek, by pomóc cioci wypędzić owce na pastwisko niedaleko Sosenek, do których prowadziła uczęszczana droga, a potem ciernista ścieżka.

Nie było to dla nas zbyt interesujące zajęcie. Ciocia Michasia próbując nas zachęcić do pozostania opowiadała, że owce do Kopysna przyprowadzili jeszcze w XIV wieku Wołosi i do dziś można spotkać ślady ich obecności. Mochowisko, Kosarzyska to nazwy wołoskie, których nadal się używa. Ponadto, jak wspomniała, sam książę Leon Sapieha z Krasieczyna leczył w Kopysnie żętycą chorą na płuca żonę Jadwigę i jak wyjaśniła, była to serwatka ze świętego mleka owczego, którą zalecił jej jakiś lekarz ze Lwowa.

W tym czasie historia nie była przedmiotem, który nas szczególnie fascynował, więc szukaliśmy okazji, by czmychnąć z pastwiska i w sadzie niedaleko domu dziadków poganiać i postrzelać z łuku.

Ciocia jednak nie odpuszczała i próbując nas zatrzymać, chwyciła jedną ze spokojliwych owiec i wsadziła mnie na jej grzbiet, co nie spodobało się zwierzęciu, a zwłaszcza trykowi, który przyglądał się tym ekscesom. Najpierw jak sądzę czynił to z ciekawości, ale jak tylko ruszyłem niczym jeździec na Wielkiej Pardubickiej, bo widocznie odezwały się we mnie geny moich czeskich przodków, zaczął grzebać w ziemi

przednim kopytem i gotował się do użycia swych dużych, krętych rogów. Jego zapędy szybko mnie przekonały, bym zakończył atrakcyjną jazdę i opuścił miejsce nie przeznaczone dla mnie, co mogło skończyć się długotrwałym moczeniem pośladków w miednicy wypełnionej kwaśną wodą.

Po tym zdarzeniu uznaliśmy, że będzie lepiej, jak poganiamy jedynie po łąkach bez określonego celu.

Kiedy zapadał zmrok, leżeliśmy już w izbie męcząc się z powodu obfitych kołder z gęsich piór, które nas wręcz wgniatały w łóżka, nie wspominając o okazałych poduszkach pod głowę.

Próbowaliśmy zasnąć, kiedy kuzyn zauważył, że w jednej z lamp naftowych w izbie dymi knot.

„Widocznie Dziadek zapomniał dolać nafty.” – stwierdził mój brat.

„A może nadszedł kres dla knota, który już wczoraj brudził szklany klosz?” – zapytał kuzyn.

Tego lata nie było wśród nas wujka Michała z Elbląga, który w takich okolicznościach zawsze potrafił nas zaciekawić niezwykłymi bajkami o zwierzętach. Widocznie ciocia Marysia miała dla niego inne plany i pewnie razem pojechali na wycieczkę do Tuchowa.

Babcia krzątała się w kuchni, ciocia Michasia była już w łóżku, a Dziadek swoim zwyczajem obchodził skromne gospodarstwo, lecz bardzo szybko wrócił z pola, bo mu zgasała latarka. Miał zwyczaj zapasowe żarówki trzymać w małej szafce pod zamknięciem, a zużytym bateriom dodawał energii, kładąc je na piecu w kuchni. Nie mówiąc nikomu, co się stało, poszperał coś w latarce i po chwili z mocnym strumieniem światła wyszedł, by kontynuować swój obchód.

Myśliwi, którzy wyjechali po południu zabierając ustrzelone na Dziale dwa medalowe jelenie i pięć odyńców zostawili w chacie myśliwską latarkę, ale Dziadek nie chciał z niej korzystać, bo uważał, że nie można korzystać z uprzejmości tak ważnych gości, nie wspominając o tym, że przez kilka dni goście ci spali na sianie w stodole i myli się wodą ze studni znajdującej się blisko działki sąsiada, Kettnera.

Babcia każdego dnia raczyła myśliwych świeżym twarogiem ze śmietaną, a także wyborną jajecnicą na maśle, które Dziadek za każdym razem, gdy ubił je, trzymał w drewnianej maselnicy w zimnej piwnicy obok chaty. O powidłach ze słodkich śliwek węgierek, nie wspomnę, bo był to rarytas, którym mało kto mógł pochwalić się w mieście.

Ciocia Michasia smacznie spała, pochrapując co jakiś czas. Mój brat zasnął, a kuzyn przewracał się z boku na bok, gdy Dziadek Mikołaj, który nigdy nie ulegał emocjom, nagle wparował do chaty i obudziwszy Babcię, coś jej zaczął opowiadać, lecz przez zamknięte drzwi do izby niewiele można było usłyszeć i zrozumieć o czym rozmawiali.

„Ktoś próbuje coś ukraść z kapliczki świętego Jana... widziałem jakieś światła... pójde zobaczyć.” – Dziadek próbował uzasadnić swoje zamiary, lecz Babcia nie była tym zainteresowana.

„Stary, idź spać... to pewnie turyści od Bomby... rano trzeba jechać do sklepu..., a ty mi tu o jakichś światłach.” – Babcia zmęczonym głosem próbowała zniechęcić Dziadka do nocnej eskapady.

Dziadek, jak się później dowiedzieliśmy, mimo próśb małżonki, której zasadniczo się nie sprzeciwiał, tym razem zrobił wyjątek i udał się na miejsce, gdzie widział tajemnicze światła. Idąc drogą, która biegła niedaleko potoku Kamiennego, pokonawszy pewien odcinek, wszedł do lasu, gdzie stała kapliczka, lecz poślizgnąwszy się na mokrym konarze, upadł i spłoszył nieznaną osobę, która w pośpiechu, uciekając drogą w stronę Rybotycz, upuściła jakiś zwitek papieru.

Kapliczka świętego Jana w Kopysnie została wzniesiona przez chłopów w 1848 roku, jak wiele innych na terenie Galicji, na znak zniesienia pańszczyzny w cesarstwie austriackim, do czego przyczynił się ówczesny Gubernator Galicji hrabia Franciszek Stadion.

Niemal w każdej wsi chłopci pańszczyźniani zaczęli wtedy urządzać symboliczne pogrzeby pańszczyzny, w których uczestniczyli nawet kapłani³. Wcześniej sporządzano trumienki adekwatne do wielkości akt powinności, które zawierały informacje o ilości i rodzaju obowiązkowych prac, jakie mieszkańcy wsi mieli wykonać dla miejscowego właściciela majątku ziemskiego.

W miejscu pochówku akt zazwyczaj stawiano kapliczkę albo krzyż lub sadzono drzewo, co miało zapobiec ich odkopaniu, bo ktoś miałby odwagę ruszyć przedmiot kultu religijnego, by sięgnąć po akta lub wykopać drzewo?

Chłopi wielką wagę przywiązywali do zakopanych przedmiotów związanych z pańszczyzną. Wszelka próba ich wydobywania z ziemi uważana była za próbę powrotu do pańszczyzny.

Na terenie Bieszczadów w latach międzywojennych, gdy z powodu poszerzenia drogi zaszła konieczność przeniesienia

³ Zob. <http://www.1917.net.pl/node/5227>.

kapliczki w inne miejsce, doszło do protestu chłopów, którzy uznali, że chcą im przywrócić pańszczyznę.

Protesty te objęły inne wsie, gdzie chłopci uzbrojeni w różne podręczne narzędzia, w tym siekiery, kosy i widły zaczęli bronić swych spraw, i gromadząc się w miejscu „zakopania pańszczyzny” nie chcieli dopuścić do jej przywrócenia.

Spotkało się to z ostrą reakcją władz, która chciała ich rozpuścić. Niestety w jednej wsi akcja policji skończyła się tragicznie, w wyniku postrzelenia przez funkcjonariusza zmarł protestujący chłop.

Następnego dnia rano, gdy wstaliśmy z łóżek, Dziadek w kuchni ostrzył brzytwę na skórzanym pasku, bo przed każdym wyjazdem z domu zawsze dokładnie musiał się ogolić. Poza tym miał odwieźć do Rybotycz ciocię Michasię na autobus w stronę Huwnik, gdzie mieszkała jej siostra, której miała pomóc w przygotowaniach do rocznicy ślubu.

Dziadek jak zwykle nie był skory do opowiadania o wszystkim czego doświadczył. Gdy skończył golenie, wiedząc że jesteśmy bardzo ciekawi co wydarzyło się wczoraj wieczorem, włożył prawą rękę do kieszeni kamizelki i wyjął

jakiś zwitek papieru. „Trzymaj! Może wam się to przyda.” – zwracając się do brata podał mu go.

Ciekawskie nasze oczy zaświeciły się i chwyciwszy podarowany papier weszliśmy do głównej izby, by zobaczyć co to jest i co zawiera.

Był to fragment sporządzonej w języku niemieckim mapy obejmującej część wsi Rybotycze i Kopysno. Przeglądając ją z różnych stron niczego na pierwszy rzut oka nie dostrzeżliśmy.

Mój brat wzięwszy mapę „pod światło” zauważył jednak, że jest na niej zarysowane jakieś kółko. Widocznie ktoś chciał ukryć poszukiwane miejsce i tak zaznaczył je na mapie, by było możliwe do zlokalizowania tylko przez odpowiednią osobę.

Wiedzieliśmy już gdzie znajduje się miejsce poszukiwań człowieka, którego spłoszył Dziadek, lecz nie wiedzieliśmy czego on w tym miejscu szuka.

Dziadek po powrocie z Rybotycz, przy obiedzie, w rozmowie z Babcią powiedział, że ciocia Stefka z Rybotycz ma na kwaterze jakiegoś naukowca z Kanady, który za każdym razem gdy coś dla niego zrobi, wręcza jej banknoty, co jest dla niej nieco irytujące.

„A ty wiesz, jaki on ma apetyt? Wręcz połyka wszystko co Stefka ugotuje.” – ze zdziwieniem oznajmił Dziadek.

„A po co on tu przyjechał?” – zapytała Babcia, popijając jak zwykle herbatkę z dziurawca, która od lat królowała na stole u dziadków.

„Podobno ćmy łapie w nocy, a wczoraj to wrócił bardzo późno, cały zmoknięty i ochlapany błotem. Stefka skarżyła się, że wchodząc do domu naświnił w sieni i musiała za niego sprzątać.” – odpowiedział Dziadek.

„A kiedy wcześniej chciała zrobić porządek w jego pokoju, to oburzył się i stanowczo zakazał jej wstępu, gdyż jak twierdził, ma tam cenne okazy owadów, które mogłyby zniszczyć. A poza tym to miły człowiek, pięknie mówi po polsku i ukraińsku. Na nic się nie skarży.” – dodał Dziadek.

Naukowiec cioci Stefki nie spodobał się nam, gdyż wydawał się podejrzanym, więc postanowiliśmy przyjrzeć się mu z bliska, co nie było łatwe, bo dziadkowie nie pozwalali nam zbyt daleko oddalać się od domu.

Wpadliśmy więc na pomysł, że tej nocy będziemy spać w stodole na sianie, tak jak zawsze robią to myśliwi, którzy zatrzymują się u dziadków podczas polowania.

„Na sianie? Zmarzniecie, noce są teraz chłodne.” – próbowała nas zniechęcić Babcia.

„Ależ Babciu, weźmiemy koce i się nimi przykryjemy... .”- próbował przekonać Babcię kuzyn.

Wtem wtrącił się do rozmowy Dziadek.

„Niech śpią w stodole, dowiedzą się wreszcie, jak wygląda prawdziwe życie na wsi.” – stwierdził Dziadek, czym przekonał Babcię.

Tej nocy nie zamierzaliśmy spać, a tym bardziej walczyć z sianem, które przeciskając się przez prześcieradło raniło całe ciało, tak że rankiem było całe pokłute. Chyba że ktoś, w odróżnieniu od nas, lubił spać w piżamie, to nie miał takich problemów.

Wzięliśmy jednak ze sobą pościel, podwójne koce i... czarną pelerynę Dziadka, którą często zabiera ze sobą, gdy pada deszcz. Tym razem miała pełnić inną funkcję, maskować nas w lesie, do którego mieliśmy udać się, gdy dziadkowie zgaszą lampy naftowe i zasną.

Pojawił się jeden problem, bo nie mieliśmy latarki, a była nam potrzebna po zmroku. Kuzyn z bratem uznali, że pożyczą latarkę myśliwych, którzy zapewne nie pogniewają się na nas, gdy poznają przyczyny, dla których to robimy.

Wielu z nich to milicjanci i wojskowi, więc liczyliśmy, że doskonale będą nas rozumieć. Po akcji oczywiście mieliśmy

szybko ją zwrócić i położyć do szuflady w głównej izbie, gdzie leżała.

Żeby nie wzbudzać podejrzeń, opuszczając stodołę pozwijaliśmy koce tak, żeby z daleka było widać przynajmniej zarysy osób śpiących na sianie.

Przechodząc przez drogę weszliśmy do sadu, i idąc dalej staraliśmy się tak korzystać z latarki, żeby nikt ze strony wsi nas nie zobaczył. Kuzyn trzymając ją blisko ziemi, gdy tylko byliśmy na łatwym do pokonania terenie, wyłączał ją.

Idąc wzdłuż potoku Kamiennego weszliśmy wreszcie do lasu, gdzie wcześniej upatrzyliśmy sobie miejsce, skąd mieliśmy obserwować teren.

Niedaleko kapliczki rosła grupa dorodnych grabów, gdzie ulokowaliśmy się, układając wcześniej na ziemi suche sosnowe gałęzie, co nie było dobrym pomysłem jak okazało się później, z powodu żywicy, która przykleiła się nam do spodni.

Babcia nie była z tego powodu zadowolona, gdyż biorąc do prania naszą odzież miała problem z jej usunięciem. Pomógł jej Dziadek wyjmując butelkę terpentyny ze swego schowka w kuźni, którą w połączeniu ze spirytusem w odpowiednich proporcjach, Babcia użyła, ratując nasze quasi dżinsy.

Ułożyliśmy się wygodnie na gałęziach i przykrywając peleryną Dziadka, zaczęliśmy nasłuchiwać, licząc na to, że nasz nieznajomy wkrótce się pojawi.

Była godzina ok. 23. Księżyc schował się za chmury i wiał lekki wiatr. W głębi sadu słyszeć było pohukiwanie sowy, która rozpoczęła polowanie na gryzonie, a było ich wiele, zwłaszcza w pobliżu zabudowań gospodarskich, i którymi kot dziadków nie był za bardzo zainteresowany.

Gdy tylko pojawił się w chacie, wypijał od razu dwa litry mleka, a że był duży i dobrze zbudowany mimo tego, że ktoś pozbawił go części ogona, nadal wyglądał groźnie i wołał polować na zwierzęta odpowiednie dla niego.

Pewnego razu, ku wielkiemu zaskoczeniu myśliwych goszczących u dziadków, przyniósł w pysku młodego borsuka. Taki z niego był łowca.

We wsi co jakiś czas słyszeć było psa Kettnerów. Być może wyczuł lisa, który od tygodnia zakradał się do kurnika i już wcześniej wyniósł kilka kur, co mocno zirytowało gospodarza, który co noc czuwał, i gdy tylko usłyszał szczekanie psa, zrywał się na nogi i zaglądał do kur.

Tej nocy zapewne spał, bo widocznie poprzedniego dnia udało się mu dobrze zabezpieczyć kurnik; niemal całe

popołudnie słyhać było przy nim jakieś prace; ktoś stukał, przeżywał deski, wbijał gwoździe.

Wiatr nagle przestał przepędzać powietrze i nastąpiła cisza, co nie sprzyjało czujności, bo poczuliśmy potrzebę snu.

Mój brat jednak nie poddawał się i co jakiś czas unosząc pelerynę, nasłuchiwał co dzieje się wokoło, a zwłaszcza od drogi z Rybotycz prowadzącej przez las Grabnik.

Gdy prawie zasypialiśmy, szepnął do mnie:

„Jasiek, ktoś ze wsi idzie w naszą stronę.”

„Pewnie jakiś kłusownik wybrał się po swoje żniwo.” – odpowiedziałem bez głębszej refleksji.

Osoba idąca z Kopyzna drogą pełną kolein, nagle zatrzymała się i podeszła do kapliczki świętego Jana.

Noc była ciemna i mogliśmy polegać wyłącznie na tym, co potrafiły dostrzec nasze oczy. Latarki nie chcieliśmy używać, by nikogo nie spłoszyć.

Nieznana nam osoba podeszła do kapliczki i dyskretnie świecąc latarką do jej wnętrza, chwyciła za drewnianą figurkę świętego Jana i szybko włożyła ją do worka, który trzymała na ramieniu. Następnie wyjęła z niego nieduży przedmiot i postawiwszy na półce w kapliczce, szybko oddaliła się.

Nie dociekaliśmy kim była ta osoba, bo tej nocy czekaliśmy na zupełnie kogoś innego.

Następnego dnia mój brat stwierdził, że ktoś podmienił figurki i w miejsce drewnianego świętego Jana, postawił gipsową figurkę przedstawiającą postać kobiety, zwanej przez katolików Matką Boską. Nie mieliśmy jednak czasu i ochoty, by zająć się tym zdarzeniem.

Jan Welfin z Pomuku, zwany też Janem (Johankiem) Nepomucenem⁴ urodził się pomiędzy 1340 a 1349 rokiem w niewielkim miasteczku Pomuk koło Pilzna w Czechach.

Ten czeski duchowny katolicki, kanonik, w 1393 roku na rozkaz króla czeskiego Wacława IV Luksemburskiego, jak podają niektóre źródła, po uwięzieniu i torturach miał zostać utopiony w Wełtawie za zdradę majestatu lub, jak inni twierdzą, z powodu odmowy wyjawienia królowi treści słów wypowiedzianych podczas spowiedzi jego żony, którą podejrzewał o romans⁵.

Zanim Jan Nepomucen został beatyfikowany, co miało miejsce w 1721 roku przez papieża Innocentego XIII, a w 1729

⁴ Takie przydomki nadano mu po jego kanonizacji, który oznacza „milczący”.

⁵ Więcej o Janie Nepomucenie - <http://naszesudety.pl/svaty-jan-nepomucky.html>

roku kanonizowany przez papieża Benedykta XIII, uchodził za nieformalnego patrona Czech.

Po uznaniu go świętym, jego kult za sprawą jezuitów szybko zaczął rozszerzać się na sąsiednie ziemie i objął rozległe tereny opanowane przez Habsburgów, w tym zamieszkiwane przez Polaków.

Do niedawna w naszym kraju naliczono blisko 3700 figur świętego, co świadczy o olbrzymiej jego popularności.

Święty Jan Nepomucen stał się patronem spowiedników oraz był czczony jako opiekun mostów, a także obrońca ludu i mienia podczas powodzi.

Według tradycji ludowej miał chronić uprawne grunty zarówno przed powodzią, jak i suszą, co wyjaśnia dlaczego wiele figur świętego ustawiono w pobliżu rzek i mostów oraz przy drogach i ich skrzyżowaniach.

Nieprzypadkowo kapliczka św. Jana została wzniesiona przy głównej drodze do Kopysna, w pobliżu potoku Kamiennego, który być może dawniej czynił szkody mieszkańcom, kiedy jego wody zbyt wzbierały.

Ponadto, niedaleko kapliczki od lat przebiegała droga prowadząca z zachodniej części Kopysna, od strony Kopystanki, i która przecinając główną drogę z Rybotycz do

Kopysna, poprzez potok Kamienny, biegła w kierunku wschodnim, omijając Rybotycze.

Ktoś, kto wybrał miejsce posadowienia kapliczki, musiał doskonale znać szczegóły związane z kultem św. Jana Nepomucena.

Figurka umieszczona w kapliczce bez wątpienia przypominała postać św. Jana Nepomucena⁶, choć z uwagi na upływ czasu i nieudolne próby jej ratowania, nie można dziś dostrzec wszystkich szczegółów, jakie pierwotnie posiadała.

Niewiadomo kto wykonał tę drewnianą figurkę. Najprawdopodobniej pojawiła się ona wraz z wzniesieniem kapliczki, co miało miejsce w 1848 roku.

Figurka przedstawia postać dorosłego mężczyzny o podłużnej twarzy, posiadającego wąsy i brodę i którego włosy, lekko kręcone, sięgają karku, przy czym wzrok ma skierowany przed siebie, a na szyi zawieszony krzyż.

Pierwotnie wyrzeźbiona postać świętego trzymała w rękach skierowany w stronę lewego ramienia drewniany krzyż, który w 1963 roku był uszkodzony poniżej poprzeczki. Po tym, jak złodziej zwrócił figurkę na początku XXI wieku, krzyż ten został naprawiony przez nieznaną osobę, lecz niestety po

⁶ Zobacz <http://nepomuki.pl/nepomuk/poznaj.htm>

jakimś czasie znikł i do dziś postać świętego stoi bezradnie trzymając rozłożone ręce, jakby na coś czekała.

Figurka świętego ma na głowie metalową koronę z licznymi ostrymi wypustkami, co przeczy wyglądowi św. Jana Nepomucena, który zazwyczaj przedstawiany jest z biretem na głowie. Być może później „drewniany” biret po prostu rozsypał się ze starości i ktoś doszedłszy do wniosku, że metal jest trwalszy, wykonał z tego materiału koronę i włożył ją na głowę figurki świętego. Nie posiadając wiedzy o tym, ile ma mieć tzw. rogów, zrobił je według własnego uznania.

Odzienie figurki przedstawiającej świętego, składa się z komży rokiety wykończonej ażurową koronką. Niestety ktoś bezmyślnie, zamiast białej farby, użył brązowej i pomalował nią komżę, spod której w niektórych miejscach widać kolor niebieski.

Pod komżą jest sutanna, mogła to być talara, pozbawiona guzików, ale tego dziś nie da się sprawdzić z powodu upływu czasu i zatarcia szczegółów. Winna być w kolorze czarnym, ale osoba, która próbowała ratować zabytek, nadała jej kolor brązowy, spod którego jak poprzednio wystaje niebieska farba.

Na sutannę i komżę świętego narzucono pelerynę, prawdopodobnie almucję, ale tego nie da się uwodnić. Peleryna z zewnątrz jest w kolorze brązowym, a od strony wierzchniej

w kolorze niebieskim. Zazwyczaj peleryna była w kolorze białym, ale tak jak w przypadku wielu innych figur świętego, jest inna.

Koloru niebieskiego, popularnego w tych stronach, użyto wcześniej w stosunku do całej figurki świętego Jana, o czym świadczy jej obecność w wielu jej miejscach. Ktoś później musiał uznać, że kolor ten nie jest właściwy, więc pokrył figurkę kolorem brązowym, który spelzł po latach, dlatego też gdzieś tam widać dawną niebieską powłokę.

Spod długiej sutanny świętego wystają buty z uciętym noskiem, charakterystycznym dla większości figur św. Jana Nepomucena.

Kto ukradł figurkę św. Jana i ją później zwrócił? Tego już nie dowiemy się. Pytanie, co skłoniło tę osobę do kradzieży i zwrotu figurki, także pozostanie bez odpowiedzi.

Nieco pobudzeni wizytą osoby, która z niewiadomych powodów zamieniła figurki, nadal czuwaliśmy oczekując na kogoś, kto porzuciwszy fragment mapy, poszukiwał czegoś co musiało mieć dla niej jakąś wartość, o czym nie mieliśmy wtedy pojęcia.

W tym oczekiwaniu zdarzało się nam wpaść w objęcia Morfeusza, ale szybko wyprowadzał nas z nich kuzyn podczas

„erupcji” chrapania, nad którą nie mógł zapanować. Ponadto, do naszego legowiska przyszli nieproszeni goście, mrówki, które bez naszej wiedzy postanowiły spenetrować nowe tereny, biegając po naszym ciele bez ustanku.

Po tych wszystkich wydarzeniach i upływie części nocy, nie byliśmy już tak bardzo czujni i nie musieliśmy zbytnio się o to starać, bo osoba na którą czekaliśmy, nie dbała szczególnie o zachowanie ostrożności.

Wtem, niemal jednogłośnie, spojrzawszy na siebie stwierdziliśmy, że ktoś zmierza w naszym kierunku, co nie było trudno zauważyć, bo wywijał latarką niczym mieczem, przez co nadałem mu imię Świetlik.

Czujni jak nigdy, czekaliśmy na to, co stanie się dalej.

Świetlik minąwszy las Grabnik, zboczył za niedużą brzozą w prawo i przedzierając się przez zarośla dotarł do potoku Kamiennego, bo usłyszeliśmy głośny plusk, jakby ktoś wpadł do wody. Widocznie poślizgnął się na kamieniach i stąd ten hałas.

Na chwilę zapadła cisza, lecz wkrótce znowu usłyszeliśmy, jak ktoś wolno zmierza w naszym kierunku ocierając się o gałązki drzew i krzewów, które trzaskając pod naporem jego ciała, jakby celowo dawały nam znać, gdzie się znajduje.

Nieznany nam osobnik, zwany Świetlikiem, był coraz bliżej. Idąc wzdłuż potoku Kamiennego skręcił w lewo i wspiąwszy się po zboczu wzniesienia, podszedł do kapliczki św. Jana.

Niewiele widzieliśmy, ale chyba zdjął plecak, z którego wyjął jakiś przedmiot. Przez chwilę, gdy zapalił latarkę, dostrzeżliśmy w jego ręku wojskową saperkę. Chwycił ją mocno i u podstawy kapliczki zaczął odgarniać nią ziemię, lecz napotkawszy korzenie drzew, uderzał nią coraz mocniej, aż słychać było jego stękanie.

Przy kapliczce rosło wiele drzew, szczególnie grabów, a po jej lewej stronie od drogi stał olbrzymi buk z piękną rozłożystą koroną, którego wiek oceniano na ponad 100 lat i z tego powodu chciano okrzyknąć go pomnikiem przyrody, nadając mu imię Michał, od mieszkańca Kopysna, Jakubowa, lecz nie udało się.

Michał bardzo kochał Kopysno i zawsze podkreślał, że chce być tu pochowany, gdyż jak twierdził, nigdzie indziej nie ma „tak świeżego i zdrowego powietrza”, i czego doczekał osiągnąwszy kres swego życia.

Został pochowany na cmentarzu w Kopysnie, niedaleko dzwonnicy, pozbawionej instrumentów, które w czasie II wojny

światowej zdjęto i ukryto, by nie wpadły w ręce okupanta. Zrobiono to bardzo skutecznie, bo dzwony nie wróciły już nigdy na swoje miejsce i do dziś nie wiadomo, gdzie znajdują się.

Zmęczony kopaniem Świetlik, usiadł i oparł się o kapliczkę.

Nie była okazała, wykonana z okolicznego kamienia miała jakieś 2 metry wysokości, a boczne ściany miały szerokość ok. 1,2 metra i była przykryta daszkiem namiotowym podbitym gontem, który niestety wymagał wymiany.

Świetlik siedząc przed kapliczką, włączył latarkę i trzymając w ręku jakiś papier, coś czytał, po czym schował go do kieszeni i zaczął kontynuować pracę. Musiał posiadać kopię mapy, którą porzucił poprzedniego dnia.

Nie był jednak za bardzo zadowolony ze swych postępów, bo co chwilę przerywał kopanie i wzdychał, mrużąc coś pod nosem. Natomiast my czekaliśmy na efekty jego pracy, które ujawniłyby cel jego poszukiwań.

Niestety, ale jak zawsze w takich sytuacjach winny jest czynnik ludzki. Kuzyn, który bardzo lubił mleko, a najbardziej takie prosto od krowy, wypił go zbyt dużo podczas kolacji, a że rzadko to robił, jego organizm zaczął wytwarzać gazy,

które trudno powstrzymać, a podczas ich wydalania z organizmu zachować pełną dyskrecję, nie informując o tym osób towarzyszących.

Kuzyn męcząc się, starał się zachować ciszę i doskonale udawało się mu do czasu, gdy przez nieuwagę szturchnąłem łokciem w jego brzuch, co wywołało efekt porównywalny niemal do wybuchu małej petardy.

Świetlik, czyli nasz nieznajomy, nie czekał z gratulacjami i szybko zwinąwszy swoje rzeczy uciekł, pozostawiając dół o szerokości i głębokości ok. 0,5 m, co zmierzaliśmy w świetle latarki, korzystając z własnej miary, którą często stosowaliśmy.

Rozkładając u dłoni duży i mały palec jak najszerzej, przykładaliśmy je do linijki i każdy odczytywał odległość między nimi, która miała ok. 20 cm, stąd też w dłoniach mieliśmy miarę i dzięki temu z łatwością mogliśmy mierzyć różne rzeczy.

Było zbyt późno by zająć się wykopanym dołem, zwłaszcza że Babcia nie tolerowała nieobecności przy wspólnym śniadaniu i musieliśmy szybko wrócić do stodoły, by zaspokoić brak snu korzystając z pozostałej do wykorzystania części nocy.

Następnego dnia, chcąc przekonać dziadków, że spanie w stodole było dla nas wielką frajdą, ze sztuczną radością na twarzach udaliśmy się na śniadanie, które jak zwykle cieszyło nasze kubki smakowe.

Świeżo upieczony chleb, którego wierzch przed upieczeniem Babcia smarowała rozmieszonym żółtkiem jaj..., jajecznica, twarożek ze szczypiorem, konfitury, miód... Nie chciało wstawać się od stołu.

Kuzyn spojrzawszy na brata i na mnie, wymownym wzrokiem wskazał, że musimy opuścić miejsce śniadań i udać się do stodoły, gdzie zawsze omawialiśmy ważne sprawy. Zastanawialiśmy się co zrobić z wykopanym przez Świetlika dołem. Pogłębić go i szukać aż do skutku?

Przy okazji oberwało mi się od kuzyna za wczorajszą nocną nieudaną wyprawę.

„W tak głupi sposób zostaliśmy zdemaskowani i dalej nic nie wiemy.”- stwierdził.

Miałem już odszczekać się, że nie powinien pić tyle mleka na kolację, ale naszą dyskusję przerwał Dziadek, który zawołał nas spod kuźni. Chciał byśmy pomogli mu wymienić pęknięte drewniane szczeble w drabinach stanowiących boki wozu drabiniastego, którym zwoził siano i snopy zboża.

Pomagając Dziadkowi przy wymianie szczebli, przypomniałem sobie, że muszę dla Babci przynieść z piwnicy kompot śliwkowy na obiad, i korzystając z okazji postanowiłem w samotności przemyśleć parę spraw.

Zastanawiałem się jaki cel przyświeca lokatorowi cioci Stefki, miłośnikowi motyli nocnych, który zamiast je łowić, kopie dół niedaleko kapliczki św. Jana, jakby dobierał się do nory borsuka.

Wątpiłem, by chodziło mu o nieszczęsne księgi powinności, które na pewno miały wartość historyczną, lecz nie skłoniłyby nikogo do takiego poświęcenia.

„Chłopaki. Musimy wrócić na miejsce i spróbować samemu poszukać tego, czego szuka Świetlik.” – stwierdziłem.

„No tak, a jak chcesz to zrobić? Jesteś pewny, że Świetlik dobrze wybrał miejsce poszukiwań? Co jednak, gdy pomylił się?”- zapytał mój brat.

„Masz jakieś wątpliwości?” – odparłem.

Mój brat, jak zawsze bardzo dokładny, wyjaśnił nam, że Świetlik mógł pomylić się i kopać w niewłaściwym miejscu. Na mapie, którą dostaliśmy od Dziadka ktoś dyskretnie zaznaczając na niej kółko, postawił w środku kropkę

wskazującą na poszukiwane miejsce, które znajdowało się między drogą a kapliczką św. Jana.

Świetlik podczas nocnych poszukiwań widocznie uznał, że łatwiej będzie mu wyznaczyć miejsce poszukiwań od skraju drogi niż od kapliczki, którą na mapie oznaczano jedynie symbolem i niewiadomo było, gdzie jest dokładnie usytuowana.

Nasz nieznamy przeliczył z mapy odległość od drogi do poszukiwanego miejsca i wytyczając ją w terenie nie uwzględnił faktu, że obecnie droga prowadzi nieco bliżej kapliczki niż wskazywała mapa. Mapa, którą porzucił Świetlik pochodziła z lat przedwojennych, a przecież od tego czasu wiele zmieniło się.

Należało więc skorygować pomiary.

Udaliśmy się szybko w okolice lasu przy kapliczce św. Jana i zaczęliśmy szukać w terenie śladów dawnej drogi, co nie było łatwe po tylu latach.

Wielokrotnie przeszukaliśmy teren, gdzie dawniej mogła znajdować się droga i w końcu, odgrzebuując stertę liści i martwych gałęzi, ujrzeliśmy charakterystyczne ciągnące się na pewnej długości wgłębienie wskazujące na koleinę i ślad drogi. Pomiedzy dawną drogą a obecną dzieliły je cztery metry.

Mieliśmy więc punkt zaczepienia, z którego należało odmierzyć wskazaną na mapie odległość do poszukiwanego miejsca.

Z uwagi na to, że mapa nie była precyzyjna i pozbawiona charakterystycznych punktów, do których można by się odnieść, by dokładnie wyznaczyć miejsce, uznaliśmy że nawiążemy do głównej drogi prowadzącej do Kopysna.

Wiedząc, że nasze wyliczenia i pomiary nie są dokładne, wokół wyznaczonego punktu, w którym mieliśmy zacząć poszukiwania, wyznaczyliśmy niewielką powierzchnię zaznaczając jej granice wbitymi w ziemię suchymi patykami. Teren ten należało przeszukać, co wymagało od nas wiele pracy.

Byliśmy bardzo podekscytowani i nie mogliśmy doczekać się, kiedy wreszcie zaczniemy kopać, nie zwracając uwagi na to, że jesteśmy obserwowani.

„Co wy tu chłopcy robicie?” – zapytał sąsiad dziadków, wyłaniając się nagle zza drzew.

„Szukamy grzybów.” – przytomnie odpowiedział kuzyn.

„Tutaj ich nie ma, a jak pojawiają się, to rzadko. Lepiej idźcie do Grabnika. Tam nie tylko kozaków, ale i borowików nazbieracie.” – poradził nam sąsiad dziadków.

„Może jutro tam wybierzemy się, bo musimy już wracać na obiad.” – rzekłem.

Skinąłem na chłopaków i wyszedłszy z lasu weszliśmy na drogę prowadzącą do wsi.

Sąsiad dziadków był bardzo wścibski i przez cały czas nie spuszczał z nas oka, aż zniknęliśmy za zakrętem. Na szczęście nie zauważył wbitych przez nas patyków, bo nie uwierzyłby, że zrobiliśmy to z powodu grzybów i zaczęłby niepotrzebnie węszyć. A gdyby zobaczył wykopany przez Świetlika dół, to już całkiem mógłby zacząć coś podejrzewać. Na szczęście wypełniliśmy go ziemią i przykryliśmy liśćmi.

Żeby nie wzbudzać podejrzeń postanowiliśmy swą akcję rozpocząć następnego dnia.

Chcąc zrealizować nasz plan potrzebowaliśmy jedynie solidnej łopaty.

Wszystkie narzędzia do prac polowych u dziadków znajdowały się w pomieszczeniu obok kuźni, lecz nie mogliśmy niezauważeni tam wejść i wyjąć przedmiot naszego pożądanego, gdyż Dziadek od rana nie opuszczał kuźni reperując orczyk do wozu konnego.

Kuzyn próbował odciągnąć Dziadka i zająć rozmową, lecz na nic zdały się jego docieklive pytania m.in. o ciężar kowadła. Dziadek był mocno skupiony na pracy i krótko odpowiedział: „Muszę naprawić to do jutra, a o tym, o co pytasz, pogadamy później.”.

Z pomocą przyszła nam nieświadoma naszych zamiarów Babcia.

„Stary, przyjdź do kuchni, pomożesz mi przenieść ciężki garnek z wodą.” – zawołała z oddali przez otwarte drzwi do chaty.

Babcia nie zdradzając swoich pomysłów na obiad, widocznie myślała o jakimś daniu z kaczora, który biegając wokół domu, od dłuższego czasu kąsał każdego, kto stanął mu na drodze.

Chcąc po zabiciu zwierzęcia przygotować z niego pokarm, należało wcześniej pozbawić go piór, a do tego niezbędny był wrzątek, stąd też jej prośba o pomoc skierowana do Dziadka.

Dziadek bardzo lubił dania z drobiu, które przyrządzała mu Babcia, a że musiał być już głodny i chciał coś przekąsić, długo nie wychodził z kuchni.

Wykorzystaliśmy nieobecność Dziadka i wyjmując łopatę z pomieszczenia obok kuźni, udaliśmy się do sadów, skąd przenieśliśmy się w miejsce poszukiwań.

Nie będąc przekonanym, że wyznaczone przez nas miejsce jest właściwe, próbowaliśmy wokół wcześniej zaznaczonej powierzchni zedrzeć wierzchnią warstwę runa leśnego i ziemi. Brat zauważył, że w jednym miejscu ziemia jest niejednorodna, tak jakby ktoś ją wymieszał, co mogło wskazywać na miejsce naszych poszukiwań.

Wbiłem łopatę i energicznie zacząłem usuwać ziemię z wykopu, licząc na szybki efekt naszych poszukiwań. Przeszkadzały mi w tym liczne korzenie, lecz nie poddawałem się. Kopalem coraz głębiej, lecz bez skutku. Zirytowany i zniechęcony, w pewnym momencie z całej siły rzuciłem łopatą w wykopany dół i wtedy usłyszałem charakterystyczny dźwięk wskazujący na ocierający się o szkło metal. Stalowe ostrze łopaty musiało uderzyć w coś szklanego.

Butelki po wódce, czy winie w latach 70. XX wieku często służyły za pojemniki na herbatę lub inną popitkę do kanapek, i do dziś można je spotkać w różnych miejscach, a zwłaszcza w lesie. Widocznie jakiś pracownik leśny nie chcąc uchodzić za śmieciarza, zakopał jedną z nich w ziemi, tylko dlaczego tak głęboko?

Powoli, z namaszczeniem, odsunęliśmy ziemię, wydając z wykopu lekko zarysowaną, lecz nienaruszoną, szklaną ciemną

butelkę, na której widniał wyraźny wypukły symbol książęcy w postaci mitry, a pod nim wypukły napis „Krasieczyn”, sporządzony wielką literą.

Później dowiedzieliśmy się, że była to butelka po piwie z książęcego browaru w Krasieczynie.

Butelka była pusta, ale dlaczego ktoś ją tu zakopał? Być może miała być niczym jaskółka, zapewniając poszukiwacza, że jest na właściwym tropie?

Postanowiliśmy kopać aż do skutku. Kuzyn przejął po mnie łopatę i mocno wymachując ją, pogłębiał wykop.

W pewnym momencie zazgrzytało coś od uderzenia łopaty. Czyżbyśmy wreszcie dotarli do celu naszych poszukiwań? Baliśmy się zajrzeć do wykopu, bo mógł to być jakiś pocisk lub niewybuch z ostatniej wojny.

Kuzyn, odważniejszy od nas, pochylił się nad wykopem i zaczął delikatnie odgarniać ziemię. Im dłużej to robił, tym bardziej ukryty w ziemi przedmiot ukazywał przed nami swoje kształty, i choć rzeczywiście na samym początku mógł przypominać pocisk, okazał się zwykłą kanką, w której przechowuje się mleko.

Próbowaliśmy wyszarpać z ziemi kankę, lecz każdy ciągnął ją w swoją stronę. W końcu kuzyn, który był od nas silniejszy, wyrwał nam ją z ręki i postawił na ziemi.

Przed nami stała metalowa, przeżarta nieco rdzą, nieduża kanka, zamykana mocną pokrywką, niemal identyczna do tej, w której Dziadek przechowywał mleko.

Próbowaliśmy ją otworzyć, ale mimo wielu prób, zrezygnowaliśmy licząc na to, później uda się nam ta operacja, zwłaszcza że nie chcieliśmy wzbudzać sensacji.

Byliśmy tak zaaferowani odkryciem, że nie usłyszeliśmy nadjeżdżającego wozu konnego i w ostatniej chwili, gdy znalazł się tuż przy kapliczce św. Jana, czmychnęliśmy z kanką w stronę potoku Kamiennego, zapominając zasypać wykop.

Jak zwykle idąc wzdłuż potoku dotarliśmy do sadu, a potem do stodoły, gdzie ukryliśmy swą zdobycz, nie zapominając umieścić łopaty w miejscu, skąd ją wzięliśmy. Czekaliśmy jedynie na dogodny moment, by zajrzeć do kanki.

Byliśmy przekonani, że nikogo nie interesują zamiary i działania przybysza z Kanady, którego nazywaliśmy Świetlikiem. Myliliśmy się.

Od początku jego pobytu w Rybotyczach zainteresowane były nim lokalne władze. Niedaleko domu cioci Stefki, przy głównej drodze z Nowych Sadów do Birczy, znajdował się posterunek milicji. Sierżant Dyl, któremu powierzono sprawę,

wiedział od swoich przełożonych, że entomolog z Kanady nie jest osobą, za którą się podaje i bacznie zaczął mu przyglądać się, zwłaszcza po jego nocnym wypadzie na Kopysno.

Obserwacja milicji wzbudziła jego podejrzenie, czemu trudno dziwić się, bo za każdym razem, gdy wyszedł z domu cioci Stefki, podążał za nim funkcjonariusz w mundurze.

Następnego dnia, wczesnym rankiem Świetlik opuścił kwaterę, nie informując o tym cioci Stefki. Pozostawił jedynie na ceracie rozłożonej na stole w kuchni, parę dolarów jako zapłatę za pobyt i wyjechał do Przemyśla, po czym ślad po nim zaginął. Nie pojawił się już później zarówno w Rybotyczach, jak i w Kopysnie.

Tej nocy nie mogliśmy zasnąć i snuliśmy różne pomysły w związku ze swoim odkryciem. Nie wiedzieliśmy, jak postąpić w przypadku, gdyby w znalezionej kance znajdował się prawdziwy skarb, w tym złoto, brylanty i kosztowne precjoza, o których wiedzę czerpaliśmy jedynie z książek i czasopism.

Oczami wyobraźni widzieliśmy artykuły na pierwszych stronach gazet informujące o naszym odkryciu, wierząc że staniemy się przez to sławni, nie mając przy tym pojęcia, że możemy mieć z tego jakieś korzyści materialne.

Śniadanie zjedliśmy w pośpiechu, co zauważył Dziadek. „Nie spróbowaliście nawet konfitur..., co was tak goni?” – zapytał w takim tonie, jakby znał odpowiedź.

Nie wdając się w dyskusję, pognaliśmy do stodoły, gdzie poprzedniego dnia ukryliśmy naszą zdobycz i przykrywając ją sianem wierzyliśmy, że nikt jej nie dostrzeże.

Odgarnąwszy siano chwyciłem za kankę i w pośpiechu wyniosłem ją ze stodoły.

Kiedy próbowaliśmy zdjąć pokrywę z kanki, ku naszemu zaskoczeniu zza śliw rosnących obok stodoły wyłonił się Dziadek i rzekł - „Mogę wam pomóc ją otworzyć, bo sam jestem ciekaw co zawiera.”

Skąd Dziadek wiedział o naszej zdobyczy? Nie potrafiliśmy jednak w tak krótkim czasie znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Później dowiedzieliśmy się, że Dziadek każdego dnia, zanim położył się spać i gdy inni już smacznie chrapali, miał zwyczaj obchodzić całe swoje gospodarstwo, które dokładnie znał.

Nic nie mogło ujść jego uwadze, a zwłaszcza nieduża kopka siana po prawej stronie wrót do stodoły, gdzie ukryliśmy kankę. Wiedząc o niej, nie miał zamiaru zdradzać tego nikomu i kierując się ciekawością jak my, także chciał wiedzieć, co się w niej znajduje.

Nie mieliśmy wyboru, musieliśmy oddać kankę w ręce Dziadka, który posiadał odpowiednie narzędzia do jej otwarcia, a że doceniał to, co zrobiliśmy, pozwolił nam w tym czynnie uczestniczyć.

Kuzyn przetrzymywał kankę na kowadle, gdy Dziadek kowalskim młotem uderzał w zardzewiałą jej pokrywę, lecz pomimo energii jaką włożył, była niewzruszona.

Babcia słysząc głośnie uderzenia młota pomyślała, że Dziadek wrócił do kowalstwa, a że nie powinien już tego robić z powodu wieku i zdrowia, wybiegła z kuchni, by mu w tym przeszkodzić. Widząc go z młotem nad kanką odpuściła, lecz nie mogła powstrzymać się, by mu nie dociąć, jak to miała w zwyczaju, lecz nie należało tego źle rozumieć.

Zarówno Babcia i Dziadek czasem odzywali się tak do siebie, śmiejąc się powodu swej niedoskonałości związanej postępującym procesem starzenia, którego nie mogli powstrzymać.

„Oj stary, stary, nie potrafisz nawet kanki otworzyć.”- z charakterystycznym uśmiechem odezwała się Babcia, po czym, jako gospodyni, udzieliła Dziadkowi praktycznej rady. „Zanurz kankę w occie, a wieko puści.”- dodała.

„Widzicie chłopaki? Jeszcze nam tu brakowało dobrych rad Babci?” - odgryzł się Dziadek, posyłając jednak brata do kuchni, gdzie w czarnej szafie, do której z powodu cukru często zaglądały mrówki, stała duża butelka octu.

Kankę od strony pokrywy zanurzyliśmy w miednicy wypełnionej octem i nie spuszczać z niej oka czekaliśmy, aż kwas rozpuści rdzę.

Dziadek co jakiś czas podchodził, zaglądał, i po kilku godzinach wyjął kankę, wytarł szmatą i kazał nam położyć ją na kowadle, po czym znowu zaczął w nią walić młotem. Nagle coś zgrzytnęło i pokrywa kanki oderwawszy się od niej potoczyła się w stronę drzwi od kuźni, a z wnętrza wyleciały jakieś papiery owinięte w szarą tkaninę.

„No i mamy swoje skarby” – rzekłem nieco rozczarowany, licząc na coś więcej.

Tymczasem moi kompani nie mogąc powstrzymać swą ciekawość, rzucili się na owe papiery, które przed uszkodzeniem lub zniszczeniem uchronił Dziadek, i chowając je pod kamizelką, zapewnił wszystkich, że dokładnie obejrzą je później w domu.

Babcia zawołała wszystkich na obiad mówiąc, że będzie z nami jeszcze pewien gość, którego nie byliśmy ciekawi

poznać, gdyż w tym momencie interesowała nas tylko zawartość odkopanych papierów, które zatrzymał Dziadek.

Pomagając Babci rozkładać naczynia na stole, który jak zawsze w lecie ulokowany był na wolnym powietrzu pod gruszą dającą wczesne i bardzo smaczne owoce, od strony Grabnika usłyszeliśmy głos silnika motocykla.

Ktoś zmierzał w naszym kierunku i wkrótce przekroczywszy przepust nad potokiem Kamiennym, ominął drogę dojazdową do Kettnerów i skręcił do domu dziadków.

Gdy silnik motocykla zamilkł, nieznany nam człowiek zdjął z bagażnika niedużą teczkę i skierował się w naszą stronę.

Przywitał się z wszystkimi, i zgodnie z życzeniem Dziadka, zasiadł do stołu, po czym wszyscy w milczeniu zajęli się spożywaniem obiadu.

Po skończonym obiedzie, gdy pomagaliśmy Babci zdejmować ze stołu naczynia, Dziadek wyjął papiery, które znaleźliśmy obok kapliczki św. Jana i rozłożywszy je na białym obrusie powiedział:

„Nie jestem historykiem, ani odkrywcą jak wy, niech więc ten pan z muzeum w Przemyślu wyjaśni wam, co zawierają odkopane przez was dokumenty.”

Zamilkliśmy na chwilę oczekując z niecierpliwością na wyjaśnienia.

„Przyznaję, że wasza dociekliwość i upór w pozyskiwaniu informacji są imponujące... .” – z niekłamany uznaniem wypowiedział się o nas pan Władysław, którego imię poznaliśmy później.

Pan Władysław wyjaśnił nam, że wykopane dokumenty są częścią jednego z kilku ukrytych archiwów dokumentujących działania pewnych oddziałów militarnych na terenie Pogorza Przemyskiego podczas ostatniej wojny i kilka lat po jej zakończeniu.

Jak stwierdził, archiwów takich zazwyczaj było kilka i przechowywano je często w metalowych kankach w miejscu znanym tylko nielicznym.

Zrozumieliśmy wtedy, że nasz nieznajomy Świetlik musiał być jedną z takich osób lub pozyskał wiedzę od kogoś, kto uczestniczył w ukryciu archiwum i licząc widocznie na jakiś zysk, przyjechał do Polski, by go odszukać.

Wśród papierów, których treści nie potrafiliśmy do końca zrozumieć, były jakieś protokoły, sprawozdania, instrukcje, materiały szkoleniowe i klucze szyfrowe.

Nie mieliśmy jednak ochoty zagłębiać się w treść odkrytych dokumentów, zwłaszcza że kończył się nasz pobyt u dziadków i musieliśmy jutro wracać do domu.

Wiatru powiew i owoców smak

Lata 80. XX wieku.

„Wstawaj! Za godzinę odjeżdża nasz pociąg w Bieszczady.” – obudził mnie z rana kolega zdzierając ze mnie koc, którym byłem przykryty.

Poprzedniego dnia dałem się zwieść organizatorom imprezy dla studentów, którzy zapewniali, że kto wypije najwięcej importowanego piwa, będzie mógł w nagrodę otrzymać parę butelek Budweisera.

Widząc rwącą się do rywalizacji dziewczynę, która wpadła mi w oko już na pierwszym roku studiów, nie mogłem nie zgłosić się do konkursu. Licząc na moje czeskie geny myślałem, że wygrana mam w kieszeni, ale mój organizm, który widocznie musiał posiadać jeszcze jakieś obce genetyczne naleciałości, niestety zawiódł mnie na całej linii. Wygrała moja konkurentka, blondynka z Raciborza, która po konkursie, w całym tym rozgardiaszu opuściła imprezę i tyle ją widziałem. A miałem jej wiele do powiedzenia... .

„Jak to jedziemy? Nie mam nawet spakowanego plecaka!” – z bólem głowy zwróciłem się do kolegi licząc na to, że mnie zrozumie i będę mógł pozostać na miejscu.

„Nie udawaj głupiego. Musimy przeprowadzić te badania. Bez nich nasza praca magisterska weźmie w łeb. Dotarło?” –

tymi słowami udało mu się przedrzeć do mojego umysłu, nieco potrąconego zdarzeniami z poprzedniego dnia.

„Już wstaję, nie krzycz, ale czemu mamy jechać w Bieszczady?”- zadałem pytanie.

„Nie pamiętasz? Nasz promotor wyjątkowo zgodził się, byśmy wspólnie napisali pracę magisterską, pod warunkiem że pojedziemy do tej małej, wyludnionej wsi w Bieszczadach, gdzie rośnie jakaś wyjątkowa roślina. Zamiast o tym myśleć, wczoraj nachlałeś się piwa i o tym zapomniałeś.”- odrzekł kolega.

Wstawanie z łóżka nie należało do przyjemności, ale jakoś ogarnąłem się przed naszą podróżą.

Nie wiem jak, ale wzięwszy razem duży namiot oraz swoje niezbędne rzeczy, które umieściłem w plecaku, wsiedliśmy na dworcu PKP do pociągu, który jak twierdził kolega, miał nas zawieźć w Bieszczady.

W wagonie klasy II, do którego z trudem weszliśmy, był okropny tłok. Staliśmy w korytarzu ściśnięci jak ryby w konserwie, a ludzie z plecakami wędrując z jednego końca wagonu na drugi, szukając wolnych miejsc, stale nie dawali nam spokoju. W końcu opanowali toaletę, i żeby z niej skorzystać, trzeba było nieźle natrudzić się, by opuścili ten przybytek.

Kolega, który lubił zawsze górować nad innymi niczym ormowiec, wszedł do jednego z przedziałów pociągu i pokazując legitymację studencką, zdecydowanym głosem oznajmił obecnym, że jest on zarezerwowany i muszą go natychmiast opuścić. Paru chłystków jadących do Krakowa na jakiś mecz, dało się na to nabrać, przez co mogliśmy usiąść i w spokoju dotrzeć do końca naszej podróży.

Do Rzeszowa siedzieliśmy sami w przedziale, lecz gdy otworzyły się drzwi i weszła do niego niepozorna dziewczyna w dżinsach pytając, czy może się do nas dosiąść, zgodziliśmy się jednogłośnie. Nie miała zbyt dużo bagaży, usiadła obok nas i tyle pamiętam... Nie miałem sił z nią rozmawiać i myśląc stale o blondynce z Raciborza, chciałem wpaść w ramiona bogini Nyks⁷.

Od kolegi dowiedziałem się, że podczas podróży dziewczyna z przedziału nie spuszczała ze mnie oka i pytała go dokąd jedziemy, a kiedy jej odpowiedział, że do Kopysna, w Bieszczady, to roześmiała się i delikatnie mu wyjaśniła, że ktoś nas wprowadził w błąd, bo miejscowość ta znajduje się w całkiem innym miejscu, na Pogórzu Przemyskim.

„Znam Kopysno, bo stamtąd pochodzą moi dziadkowie i rodzice, ale to nie są Bieszczady.” – wyjaśniła koledze.

⁷ Według mitologii greckiej - bogini i uosobienie nocy.

Pociąg dotarł do Przemyśla i nie miał zamiaru jechać dalej. Zajęci bagażami nie zauważyliśmy nawet, kiedy podróżująca z nami dziewczyna wyszła z przedziału.

Opuściliśmy pociąg i wychodząc z dworca PKP poczuliśmy zapach smażonych placków ziemniaczanych, który sprawił, że musieliśmy odwiedzić to miejsce, które jak się okazało, znajdowało się niedaleko.

Złożyliśmy zamówienie i zajmując wyznaczone stojące miejsce, cierpliwie czekaliśmy na nasze porcje, uważając przy tym, żeby panie, które smażyły placki na rozgrzanym blacie, nie przegapiły naszej kolejki.

Kiedy usłyszeliśmy, że placki są już gotowe, ruszyliśmy w ich kierunku, chcąc od razu je połknąć, a popijając je zimnym kefirem, doznaliśmy najwyższych uniesień smakowych i czuliśmy się niczym kulinarni poeci.

Z dworca PKP w Przemyśle mieliśmy dotrzeć do Rybotycz, więc przeszliśmy tunelem na drugą stronę torów, gdzie znajdował się dworzec PKS.

W kasie, gdzie trzeba było uklonąć się przed miłą panią za szybko, kupiliśmy bilety i usiadłszy na ławce oczekiwaliśmy właściwego dla nas komunikatu z głośnika. Co chwilę autobusy podjeżdżały na tzw. zatoczki, ale nie te, na które czekaliśmy.

Wreszcie podjechał na nasze stanowisko autobus do Rybotycz, ale nie było łatwo do niego wejść, bo był już w części zapełniony pasażerami, którym udało się wcześniej wejść do niego tylnymi drzwiami, gdy stał na parkingu. Kierowca udawał, że nic się nie stało, ale miał problem jak umieścić tych, którzy także chcieli wsiąść do autobusu, a był przed jego drzwiami niemały tłum, w tym my z plecakami.

Po raz kolejny mój kolega posługując się legitymacją studencką, przekonał kierowcę, że musimy dziś być w Rybotyczach, bo mamy do wykonania poważne zadanie. Kierowca uznał jego roszczenia i nakazał pasażerom zgromadzonym w autobusie, by zrobili dla nas miejsce. Pozostałym oczekującym na wyjazd pasażerom życząc im miłej podróży wyjaśnił, że następny autobus do Rybotycz będzie za godzinę, co nieco ich uspokoiło.

Przez całą drogę autobus był bardzo wesoły, a my upchani w nim jak śledzie, staliśmy trzymając się ręką czego się dało.

Gdy autobus zatrzymywał się na wyznaczonych przystankach, to nierzadko kobiety z koszykami i innymi tobołkami, chcąc z niego wyjść, musiały nas omijać, a wtedy miał miejsce przysłowiowy Meksyk.

Wciąganie brzucha, stawanie na jednej nodze, czy nawet siedzenie na pasażerze, gdy ktoś miał duży bagaż, to była

norma. Cieszyliśmy się tylko z jednego, że autobus nadal jechał i czekaliśmy tylko, kiedy zakończy swój bieg w miejscu, do którego zmierzaliśmy.

Do Rybotycz dotarliśmy po południu. Koniecznie musieliśmy odwiedzić pobliski sklep, by kupić na kilka dni coś do jedzenia i do picia.

Jak wyjaśniła nam pani sklepowa z białym czepkiem na głowie, z napitków dostępna była tylko oranżada z Birczy, a do jedzenia pozostał także z Birczy, okrągły duży chleb, który nie odebrał jakiś człowiek, bo musiał pilnie wyjechać do Fredrośla na wezwanie milicji. Pędził bimber, jak się dowiedzieliśmy i rozpijał lokalne społeczeństwo, bogacąc się przy tym ponad stan, czego dowodem był zakup nowego roweru typu „Ukraina”, którym woził własne wyroby do klientów na ich zamówienie.

Miła pani ze sklepu bardzo nas zachęcała, byśmy wzięli ten ostatni bochenek chleba tłumacząc, że dostawa świeżego pieczywa będzie dopiero za kilka dni.

Nie mieliśmy wyboru i przyjęliśmy jej propozycję, a chleb rzeczywiście tak bardzo pachniał, że będąc głodni od razu zabraliśmy go z lady i upchnęliśmy do plecaka.

Kiedy płaciliśmy za zakupy, wszedł do sklepu jakiś starszy człowiek, który widząc nas zapytał: „Dokąd zmierzacie panowie?”.

„My do Kopysna.” – odpowiedział kolega.

„To poczekajcie na mnie, kupię tylko sól i cukier, to was tam zawiozę.” – rzekł nieznajomy.

„A do kogo jedziecie?” – zapytał jeszcze.

„Jedziemy oglądać ciekawe rośliny pod Kopystanką, mamy na to zgodę kierownika PGR w Rybotyczach.” – odrzekłem.

„Aha, studenci. No tak. Co roku tu przyjeżdżają. My ludzie starsi lubimy młodych, bo kiedy do nas przyjeżdżają, Kopysno pachnie młodością, którą już straciliśmy.” – z dozą pewnej radości i zarazem smutku wyraził się ten człowiek.

Wsiedliśmy z bagażami na wóz i wyruszyliśmy do Kopysna.

Wóz zaprzęgnięty w dwa konie, ruszywszy spod sklepu jechał wzdłuż potoku, po czym przekroczył go i z mozołem ciągnął ciężary pod górkę. Kiedy pokonaliśmy wzniesienie, zatrzymaliśmy się na chwilę, by konie mogły odsapnąć i wtedy nasz nieznajomy zaczął opowiadać ciekawe historie.

„Jak widzę jesteście tu pierwszy raz, to może coś wam panowie opowiem. Rybotycze miało kiedyś prawa miejskie, a szewcy żydowscy byli słynni na cały świat. Szyli buty na dwór

samego cesarza Franciszka Józefa. Niestety, w czasie II wojny światowej wszystkich Żydów, poza nielicznymi, zamordowano. Przed wjazdem do wsi, po prawej stronie, na pagórku jest cmentarz żydowski. A ilu Polaków i Rusinów, którzy przed wojną żyli w zgodzie wysiedlono i porozrzucano po świecie... trudno o tym zapomnieć.” - ze smutkiem opowiadał nieznajomy.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy dotarliśmy do Kopsyna. Nasz nieznajomy uznał, że nie może nas zawieść w miejsce, gdzie mieliśmy rozbić namiot i nalegał, żebyśmy to zrobili obok jego domu, przy czym zaprosił nas na kolację.

Zmęczeni trudami podróży, bez zająknięcia przystaliśmy na jego propozycję. Nie byliśmy jednak głodni, bo zakupiony chleb, któremu nie mogliśmy się oprzeć, podjadany ukradkiem podczas podróży, dostatecznie napchał nam żołądki, więc żona naszego nieznajomego oznajmiła, że pościele nam w stodole obok, na sianie, i nie czekając na naszą odpowiedź wzięła pościel i tam się udała.

Od tej pory, gdy nieznajomi okazali nam wyjątkową gościnność i szacunek, stali się „naszymi gospodarzami”. O tym się nie zapomina.

Rankiem, gdy obudziliśmy się w stodole, od razu przystąpiliśmy do rozwinięcia naszego dużego namiotu we wskazanym przez gospodarza miejscu, niedaleko jego zabudowań. Tego dnia nie mieliśmy jednak ochoty przystąpić do naszych badań, więc pozostaliśmy na miejscu.

Gospodarz widząc nasz namiot podszedł do nas i oznajmił: „Tu wam będzie dobrze. Gdybyście czegoś potrzebowali, to mówcie, a woda do picia i mycia - wskazując ręką studnię - jest tam. Tylko uważajcie by do niej nie wpaść. Wychodek jest obok sterty obornika obok domu, więc traficie bez przeszkód.” Po czym dodał: „Żartowałem, studnia ma tylko kilka kręgów, ale woda w niej pyszna, musicie spróbować.”

Gdy następnego dnia wstało słońce, rozłożyliśmy się na łąkach pod Kopystanką i zgodnie z instrukcjami zaczęliśmy przeprowadzać badania fitosocjologiczne. Trudne, mozolne i czasochłonne, a do tego pogoda nam nie sprzyjała, bo było bardzo gorąco, a mieliśmy sprawdzić ilościowość, żywotność, towarzyskość... Nie będę zanudzał szczegółami, po za tym, że tematem naszej pracy był ostrożeń siedmiogrodzki, ciekawa i rzadka roślina w tym kraju.

Ulokowaliśmy się powyżej niewielkiego wzniesienia zwanego Horbyskiem i rozpoczęliśmy swoje prace. Po chwili

pojawił się wiatr, jaki zazwyczaj towarzyszy nadciągającej burzy. Nie byliśmy w stanie zapanować nad naszymi notatkami, które wzniesione w górę, popłynęły w nieznane. Nie próbowaliśmy je ratować, bo wiatr był zbyt silny, ale na szczęście burza ominęła Kopysno i mogliśmy bez trudu powrócić do swojego namiotu. Nie byliśmy jednak z tego dnia zadowoleni, bo utraciliśmy wyniki naszych badań, które trzeba było powtórzyć. Eh te kartki papieru... .

Następnego dnia, gdy kolega chciał skorzystać z wychodka, i zdążył zrobić kilka kroków od namiotu, wrócił nagle i zaczął mnie budzić.

„Wstawaj, mamy brakujące notatki z naszych badań. Ktoś je wsunął do naszego namiotu, gdy spaliśmy.” – podzielił się z radością tą informacją.

„Spójrz, ktoś nawet poukładał je według numerów stron.”- dodał.

„Skoro tak, to dziś odpoczywamy.”- odrzekłem. Będąc zaspany nie próbowałem dociekać kto pozbierał porwane przez wiatr wyniki naszej pracy i je do nas przyniósł. To pewnie ta „Niewidzialna ręka” z telewizji, pomyślałem.

W tym dniu było bardzo gorąco i by nie dostać udaru słonecznego, zrezygnowaliśmy z dalszych prac fitosocjologicznych.

Kolega wyjął z plecaka książkę, której tytuł brzmiał „Mistrz i Małgorzata” i tak się w niej zanurzył, że nie można było z nim spokojnie porozmawiać.

Wiedząc o czym jest ta książka, nieco zadrwiłem z niego i zażartowałem sugerując mu, że czyta jakąś erotyczną powieść.

„I jak tam twa Małgorzata? Okazała swoje wdzięki? – zapytałem.

„Co ty wiesz... to jest arcydzieło, na uczelni każdy student przeczytał tę książkę, a ty nadal kpij ignorancie.” – stanowczo odpowiedział kolega.

„A czego się z tego dzieła nauczyłeś? Podaj jakiś przykład.” – ciągnąłem dalej temat.

„Kpij sobie, kpij. A znasz tę rudą i zielonooką Hellę? Nic o niej nie wiesz, więc zamilcz.” – odpowiedział wyraźnie zirytowany mój kolega.

Nie miałem ochoty dalej prowadzić z nim dyskusję i oceniać dzieła, po które sięgnął, ale widoczne musiało ono zrobić na nim olbrzymie wrażenie, a zawarte w nim mądrości musiały mocno zapaść w jego świadomość.

Na szczęście nie każdy musi zachwycać się tym, czym zachwycają się inni, i nie każdy musi akceptować mądrości przedstawiane w jakichś wynurzeniach literackich.

Posiadając nieograniczony wybór, udałem się do pobliskiego sadu, bo tam jeszcze nie byłem.

Nie tylko ja wpadłem na ten sam pomysł, bo gdy wszedłem do sadu, pod drzewami leżały krowy maści czarno-białej, które w tym czasie przeżuwały pokarm, i gdy do nich zbliżyłem się, odwróciły głowy w moją stronę i zaczęły patrzeć na mnie tymi dużymi ślepiami, jakby chciały mnie zjeść. Szkoda, że nie potrafiłem z nimi rozmawiać, bo pewnie dowiedziałbym się od nich czegoś więcej o sobie.

W sadzie oprócz jabłoni, grusz i śliw, rosły zdziczałe czereśnie, które zaczęły już dojrzewać, ale bez drabiny nie mogłem rozkoszować się ich smakiem. Wtem dostrzegłem bróg z sianem, przy którym stała drabina. Chwyciłem ją, ale była bardzo ciężka, choć drewniana. Z trudem udało mi się ją przenieść i oprzeć o pień drzewa. Kiedy na nią wszedłem z łatwością mogłem przeskakiwać z niej na każdy konar, czy gałąź, by móc zrywać dojrzałe, czerwieniejące się owoce, których smak był niesamowity. Były bardzo słodkie z lekką nutą goryczki, lecz niestety małe. Dużo trzeba było nazrywać owoców, by najeść się do syta.

Choć po jakimś czasie przestałem jeść czereśnie, nie schodziłem z drzewa przez kilka godzin. Było mi tam tak błogo, a przy tym powiewał lekki wiatr, który kołysząc drobnymi gałązkami, rozwiewał gorące powietrze z mojej twarzy.

Miałem już schodzić z drzewa, gdy usłyszałem, że ktoś zbliża się do sadu. Siedziałem cicho, bo byłem ciekaw, kto zmierza w moją stronę.

Nagle zza sąsiedniego drzewa wyszła dziewczyna trzymająca w ręce małe wiaderko, którym machała w rytm jakiejś angielskiej piosenki, którą śpiewała. Miała długie rozpuszczone czarne włosy, a na sobie zwiewną malowaną kwiatami krótką koszulę sięgającą do kolan i bosymi stopami dotykała z wdziękiem traw, co wzbudziło mój zachwyt.

Siedząc na drzewie, kilku metrów nad ziemią, nie mogłem zbyt wiele dostrzec, a gdy dziewczyna nagle zmieniła kierunek i znikła za drzewami, straciłem z nią kontakt.

Musiałem jednak dowiedzieć się kim ona jest, więc po cichu zszedłem z drzewa.

Skradając się niczym myśliwy, postanowiłem lepiej się jej przyjrzeć. Kiedy podszedłem do miejsca, w którym znikła, usłyszałem kroki kogoś, kto szedł w moją stronę. Schowałem się za pień dorodnej jabłoni i czekałem na to, co będzie dalej.

Nagle zza gałęzi drzew wyszła dziewczyna z pełnym wiaderkiem jakiś czerwonych owoców. To pewnie maliny, pomyślałem. Była odwrócona do mnie, więc znowu nie mogłem spojrzeć na nią z bliska.

Ku memu zdziwieniu, przeszła kilka metrów i nagle zatrzymała się odwracając się w moją stronę, jakby wiedziała, że tego pragnę.

Nigdy nie zapomnę jej oczu i tych roześmianych ust z których wypowiedziała do mnie jedno zdanie: „Czemu tak stoisz i nic nie mówisz?”

Kilka słów, ten niebywały uśmiech, usta i duże oczy podkreślone ciemnymi gęstym rzęsami... замуrowały mnie. Nie potrafiłem wypowiedzieć żadnego słowa.

„Zostawiłeś pod drzewem drabinę, więc odnieś na miejsce, bo dziadek będzie jej szukał.” – dodała i odwróciwszy się pomknęła w swoją stronę.

Dlaczego nic jej nie powiedziałem? Dlaczego za nią nie pobiegłem? Zacząłem się oskarżać, że zachowałem się jak mruk. Zawaliłem na całej linii, ale skąd ona wiedziała, że korzystałem z drabiny? Musiała mnie widzieć, jak wchodziłem na drzewo... a może jej się podobam? Pytania te zaczęły się mnożyć, ale odpowiedzi było brak.

„Chłopie, spotkałem cudną dziewczynę i to gdzie!” – z niekłamaną radością podzieliłem się tą wiadomością z kolegą.

„Tu? Na tym odludziu? Pewnie coś ci się przewidziało.” – odpowiedział kolega, wątpiąc w moje słowa.

„I co? Pewnie pasła krowy na pastwisku. Daj sobie spokój z wiejskimi dziewczynami.” – dodał.

„Z tobą nie można rozmawiać. Mówię ci, dziewczyna była boska i nie pasła krów, jak mówisz, lecz zbierała w sadzie maliny i śpiewała po angielsku”- odpowiedziałem nieco zirytowany postawą kolegi.

„A wiesz przynajmniej jak ma na imię i gdzie mieszka?”- zapytał kolega.

„Nie wiem, bo nie rozmawiałem z nią.”- odrzekłem ze smutkiem.

„Ha ha ha... bałeś się ją poderwać? Bo ty się nie znasz na dziewczynach. Pokazałbym ci, jak to się robi, ale moja Basia to by mi twarz podrapała, gdybym tylko spróbował.” – pochwalił się z pewną nutą żalu mój kolega.

„Odezwał się wiejski podrywacz. Tobie się wydaje, że to kupowanie towaru. Wchodzisz do sklepu, wykładasz pieniądze i dostajesz co chcesz. Mnie nie interesuje taki sposób poznawania kobiet.” – oznajmiłem.

„Jeżeli spodoba mi się jakaś dziewczyna, to odzywa się we mnie dusza myśliwego, wtedy długo przyglądam się „zwierzynie”, patrzę na każdy szczegół i dopiero po jakimś czasie używam strzelby.” – dodałem, nie licząc na zrozumienie.

„E tam, to sobie patrz, patrz, a tymczasem ktoś ci dziewczynę sprzątnie sprzed nosa.” – rzekł kolega.

Nie chciało mi się z nim dyskutować i wyszedłem z namiotu. Usiadłem na drewnianym klocku, który leżał obok naszego obozowiska i wpadłem z zadumą. Przez cały czas nie dawały mi spokoju moje pytania i chęć odszukania dziewczyny. Co prawda w Kopysnie niewiele było domów, ale jak miałem odwiedzić je wszystkie i zapytać, czy mieszka tu dziewczyna, która zawładnęła moim umysłem?

Przygotowywaliśmy dla siebie skromny obiad, i zabrakło nam soli do zupy, więc postanowiłem udać się po nią do domu naszego gospodarza.

Mieszkał on w skromnej chacie, z kamienia, gliny i drewna, a na szczycie jej dachu wykonanego z jakiejś blachy, która brązowiła w słońcu, był umieszczony metalowy kogut z chorągiewką wskazującą kierunek wiatru.

Nie trzeba było pukać, by wejść do środka, zwłaszcza że z domu dobiegał śmiech jego mieszkańców. Otworzyłem więc drzwi i wszedłem do środka.

Nasz gospodarz prowadził rozmowę, a w zasadzie był wsłuchany w opowieść jakiegoś człowieka, który mówił nie do końca zrozumiałym dla mnie językiem, ale tak barwnie opowiadał swoje historie, więc z ciekawości postanowiłem się temu przysłuchać. Nie było to łatwe, bo gość naszego gospodarza unikał pauz i mówił jednym ciągiem.

„A ja robił interesy... i napotkał mnie z Młodowic kulega i mówi: „Ty, Ty, tu Marianie i do mnie: „napijemy się wódki”. Ja wypił i zapomniał, że mam iść na komendę. Szlag trafił babę takie szerokie du...ę miała, wywrotkie z przodu. Kupe se choryłku, kupe se choryłku, do mnie gada. Ja wziął zapłacił, a mam na komendę wojewódzką wezwanie. Miał ja ze sobą flachę próżną od napoju i przelał te wódkie i kielich plastikowy wziął i co chwila popijam, a mnie obsiadało dziesięciu i pytają: „Co Pana tak pali, że ten nabój pan tak piji? Ja już wypił pół flaszki, pół litry, ja cokolwiek pierd...ił im do ucha. Panie, pan nie jest mądre zdanie, pan będziesz musiał iść do Żurawicy na badania, pan coś nie jest mądrze w głowie. Jak nie jest? Wyście mi głowę popsuli... . I wyszedł dobry komunikat mnie... . – zakończył swą opowieść gość naszego

gospodarza i spojrzawszy na mnie zapytał używając swojego języka:

„A co wy tam pod Horbyskiem szukata? Ja was tam widział. Tałabiecie jedynie trawę na paświsku... .”

Wtem nasz gospodarz ujął się za nami i wyjaśnił, że jesteśmy studentami i robimy badania, na co jego gość zwracając się do mnie rzekł: „Wy studenty bawci się dalij, nie chodźcie jednak piz dulinu z tema teczkami, bo moje psy mogą was chapsnąć.”

Kiedy już wychodziłem i miałem zamknąć drzwi od chaty, nasza gospodyni podeszła do mnie i wręczając mi jakiś pakunek powiedziała: „To dla was... upiekłam taki bałabuch z malin, zjedźcie na kolację.”

Tego dnia nie mogłem zasnąć, bo cały czas myślałem o pięknej nieznajomej, którą napotkałem w sadzie. We śnie widziałem ją, jak w delikatnej jedwabnej koszuli, dotykając gołymi stopami traw Mochowiska, biegnie po rosie w stronę Kopystanki, by przywitać wschód słońca. A ja biegnę za nią i chcę ją chwycić i dotknąć, ale stale mi ucieka... .

„Wstawaj, kończymy dziś robotę i jutro wyjeżdżamy.” – wyrwał mnie ze snu kolega, po czym pełen radości zaczął mi opowiadać co zamierza zrobić.

„Z Kopysna udam się autobusem PKS do Przemyśla, potem autobusem PKS dojadę do Sanoka, gdzie wsiądę do autobusu PKS, który jedzie do Leska, ale wcześniej wysiądę na przystanku w Posadzie Leskiej i na nogach dotrę do mostu na Sanie, po czym skrucę w prawo w kierunku Huzel i uderzę wprost do mojej słodkiej Basi, która tam mieszka. Mam dla niej cudny prezent, który kupiłem wcześniej w Pewexie za uzbierane bony i myślę, że będzie bardzo zadowolona, bo lubi kolor niebieski i jego odcienie.”- skończył swoją opowieść mój kolega.

Nie mogłem tego słuchać, bo nie chciałem stąd wyjeżdżać, gdzie zostawiłem swoje serce. Cały czas myślałem o mojej bogini, którą ujrzałem w sadzie. Dręczyła mnie stale myśl, dlaczego nie zapytałem jej nawet, jak ma na imię.

Zwinęliśmy namiot i spakowaliśmy swoje rzeczy czekając na gospodarza, który obiecał, że nas zabierze z całym tym majdanem do Rybotycz.

Siedząc na wozie przez cały czas milczeliśmy. Kiedy przekraczaliśmy potok Kamienny wymknęło mi się jedno zdanie: „Żał mi stąd wyjeżdżać... .”

Wtedy gospodarz odwrócił się i spojrzawszy na mnie chciał mi coś powiedzieć, ale w tym czasie musiał zająć się końmi, które

mocząc kopyta w potoku nie były z tego zadowolone, więc zrezygnował z rozmowy.

Wóz zatrzymał się przy przystanku autobusowym niedaleko szkoły w Rybotyczach, byśmy nie musieli z daleka taszczyć swoich bagaży.

Gospodarz mimo swego wieku, pierwszy wyskoczył z wozu niczym młodzieniec i chwytając mnie za ramię rzekł: „Mam coś dla pana. Moja wnuczka bardzo mnie prosiła, bym to panu wręczył.” Po czym wyjął spod siedzenia wozu białą kopertę, i dając mi ją oznajmił z uśmiechem: „Tylko niech panu wiatr jej nie porwie.”